



3
uprawa
oświaty



4-5
odwaga
w nerwach



podzwonne
dla Herosów



kapewu?



13
harcerz

14
gorycz
z samowara

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

44

(71)

KONTAKTY

8.XI.1981

Cena 6 zł



Matylda Bogumiła
Brymanowska



Bronisław Gołębiowski



Bogumiła
Brymanowska

PAMIĘTNIK NASTOLATKA



Jan Chojnowski



Jolanta Janus



Anna Kozłowska

Fot. GABOR LORINCZY

monolog czasu zatrzymanego

ADAM JERZY
SOCHA

Zaczeplają go młodzi na ulicy: widzisz co zostało z twojej idei, widzisz? On, komunista od 1926 roku, opuszcza głowę i w milczeniu odchodzi. Kiedyś ich ojcom obiecywał, że partia zbuduje nowy, wspaniały świat. „My, komuniści, uczniowie Marksa, Engelsa, Lenina — napisał w swych wspomnieniach — oddani idei na śmieć i życie, nie szczędziliśmy swojego zdrowia, szliśmy z pełną odwagą do boju o wspólne zwycięstwo nad wrogiem, rodzimą burżuazją i faszyzmem”. Co napiszą o pamiętnikach „towarzysze” najnowszej daty, którzy sprzedali ideę za marmurowe kible i michę sutego żarcia?

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7

piekło bez płomieni

BRONISŁAW
GOŁĘBIOWSKI

Odwieczny dylemat człowieka myślicy: „czy mają sens czy go nie mają, życie człowieka, historia ludzkości, istnienie świata” — zbyt często gości na kartach prac nadesłanych na konkurs „Kontaktów” pod hasłem „Pamiętnik nastolatka”, by rozpoczynać te kilka refleksji od jakiegokolwiek innego problemu. Przez swoje notatki osobiste nastolatki jakby powtarzają za Albertem Camusem słowa wypowiedziane przezeń jeszcze na początku lat pięćdziesiątych: „Sens życia — to kwestia najbardziej paląca...”

W samej idei i w czasie ogłoszenia tego konkursu musiała tkwić jakaś siła przyciągania, wyjście naprzeciw potrzebie społecznej i psychicznej, jeśli ze wszystkich województw w kraju nadeszło na apel redakcji aż 461 prac, w tym najwięcej, 46, z Łomżyńskiego, 34 z Białostockiego, ale niemało też z Katowickiego (23), Kieleckiego (20) czy Gdańskiego, Lubelskiego i Bielsko-Bialskiego (po 17). Sąd konkursowy nie miał więc łatwego zadania. Zresztą skromne nagrody i upominki nie mogły motywować udziału w konkursie. Powody tak liczego uczestnictwa tkwią w czym innym. W potrzebie poszukiwania sensu życia, odpowiedzi na wiele dręczących pytań, problemów, zagadek, jakie zawsze stawia życie przed nastolatkiem; w każdym czasie i pod każdą szerokością geograficzną. Ale przed polskim nastolatkiem przełom lat 1980/1981 życie postawiło to pytanie w sposób wyjątkowo spotegowany, dramatyczny, denerwujący.

17-letni pamiętnikarz z Olecka swój obszerny dziennik, prowadzony od 21 lutego do 27 marca 1980 r., zatytułował, wysyłając na konkurs, trochę manierycznie, acz zgodnie z jego treścią: „Zwierciadło duszy. Wizerunek chłopca sprzed polskiego sierpnia 1980”. Lubi on czytać potwornie ulubione pozycje literackie,

CIĄG DALSZY NA STR. 8-9

z kraju

Sytuacja kraju staje się tragiczna. W ubiegłym tygodniu została ona poddana podwójnej ocenie: obradom V Plenum KC PZPR (28 X) i posiedzeniu Sejmu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (30 i 31 października). Prezentujący wypowiedzi członków KC PZPR i posłów.

O ZAGROZENIU

Sejm domaga się zaprzestania jądrowego umysłów Polek i Polaków, domaga się konstruktywnego wkładu w przewidywanie kryzysu nękającego nasz kraj, szacunku dla konstytucyjnych zasad i instytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i przestrzegania jej praw. Za sprawę nadrzędną Sejm uważa obronę socjalistycznych podstaw i wartości ustrojowych państwa oraz kontynuację socjalistycznej odnowy naszego życia społecznego.

W obliczu zagrożenia bytu narodu oraz w celu zabezpieczenia podstawowych potrzeb obywateli. Sejm wzywa do niezwłocznego zaniechania wszelkich wyniszczających kraj akcji strajkowych. Nie czas na przerywanie pracy i manifestacje, gdy kraj jest w najwyższej potrzebie. Sejm równocześnie z uznaniem odnotowuje ostatnie wezwanie Prezydium KK „Solidarność” o zawieszeniu trwających obecnie akcji strajkowych, a także wcześniejsze apele innych central związkowych i organizacji społecznych w tej samej sprawie. (Z Uchwały Sejmowej)

Polska musi wreszcie stać się normalnym, ustabilizowanym krajem. Do tego celu zmierzać będziemy zdecydowanie. Tu nie może być wahań. Tu chodzi o byt Polski. (Wojciech Jaruzelski, I Sekretarz KC PZPR, premier Polski, Minister Obrony Narodowej)

Nasz hymn narodowy, który pokolenia całe czcili jak świętość, jak relikwię — staje się przygrywką do różnych strajkowych i protestacyjnych akcji. „Jeszcze Polska nie zginęła” — a Polska ginie! (Wojciech Jaruzelski)

Zbliżamy się do granic wytrzymałości polskiego organizmu społecznego. Obok zjawisk pozytywnych, występują szczególnie bolesne i o długotrwałych konsekwencjach: wandalizm, przestępczość, uchodźstwo, znieczulica moralna, beczeszczanie mogił. (Pos. Wojciech Kętrzyński ChSS)

O STRAJKU

Ale myślę również, iż ten strajk

— ilu by ludzi nie wzięło w nim udziału, jaki by nie był jego stopień powszechności i dobrowolności — to stał się on, dla milionów Polaków równie ostrzeżeniem, sygnałem alarmowym. (Wojciech Jaruzelski)

Każda godzina strajku w kopalniach to niedograne żłobki i przedszkola. Każda godzina strajku w przemyśle to zapowiedź bytowej udręki dla tych, którzy uczciwie pracowali dla Polski całe swoje życie. (Wojciech Jaruzelski)

Niech organizatorzy strajku sami odpowiedzą narodowi, zwłaszcza matkom małych dzieci, weteranom walki i pracy, sędziwym obywatelom, jakie przesłanki upoważniają do osłabienia gospodarki, do wzniecania napięcia akurat teraz, w obliczu nadchodzącej zimy. (Wojciech Jaruzelski)

O LINII POROZUMIENIA

„Solidarność” działa w Polsce w sposób nie skrupowany. Ma tysiące kół i miliony członków. Działa na terenie całego kraju, w większości zakładów pracy. Nikt działalności związkowej nie zakłada. I nikt też nie potrafi przytoczyć ani jednego konkretnego przykładu, aby władze utrudniały czy też bardziej — umożliwiały statutową działalność związku.

„Solidarność” jako związek zawodowy ma swoje trwałe miejsce w życiu społecznym kraju. Dowodzi tego praktyka. Wszędzie tam, gdzie lokalne ognia „Solidarności” konstruktywnie współuczestniczą w rozwiązywaniu konkretnych problemów ludzi pracy — nie notuje się napięć. (Wojciech Jaruzelski)

Spółeczeństwo polskie, potrzebuje znaku nadziei: nie przyjdzie on z zewnątrz, może się narodzić jedynie w kraju. W nas samych. Byłoby nim porozumienie zawarte między wielkimi siłami narodu, które przewidywając to wszystko co je obecnie dzieli ukazałoby możliwość wspólnej pracy w nadrzędnym interesie ojczyzny. (Pos. Janusz Zablocki PKKS)

Zdecydowana część obywateli skupiona głównie w „Solidarności” jest nadal pozbawiona dostępu do współpracy z krajem oraz do środków masowego przekazu, aby za ich pośrednictwem prezentować swoje racje. Nie prowadzi to do dialogu, do uzgadniania stanowisk. Trzeba wprowadzić i włączyć społeczny ruch odnowy w narodowy krwioobieg. Trzeba stworzyć podstawy prawne gwarantujące narodowi prawo do współ-

uczestnictwa w jego rządzeniu. Rząd musi mieć akceptację społeczeństwa, władza musi zabiegać o to w sposób inny niż dotychczas, a naród te wysiłki uszanuje. Ponadjednoroczna „Solidarność” wciąż pozostaje niechcianym dzieckiem. (Pos. Romuald Bukowski)

Niezbędny jest obecnie wzrost zaufania między władzą a społeczeństwem: jego brak jest jedną z przyczyn kryzysu. Potrzebna jest taka rekonstrukcja rządu, aby nosił on znamiona rządu ocalenia narodowego. (Pos. Alojzy Bryl SD)

O PARTII

Musimy konsekwentnie łączyć demokrację przy podejmowaniu decyzji z obowiązkiem ich lojalnego, wspólnego realizowania. Statutowe prawo do partyjnej krytyki, ze statutową powinnością rzetelnego wyrażania postaw i uchwał partyjnych. (Wojciech Jaruzelski)

Komitet Centralny na swym IV Plenum potwierdził w uchwale: „ideę porozumienia wszystkich sił patriotycznych stojących na gruncie fundamentalnych zasad ustroju PRL i międzynarodowych sojuszy naszego kraju”.

Partia nasza jest w walce, a walka wymaga zarówno centralnego kierowania jak i podporządkowania się uchwałom i decyzjom. Decyzje KC oraz podejmowane z jego upoważnienia decyzje Biura Politycznego nie mogą być okazją do plebiscytu, kto za a kto przeciw nim w partii, co jeszcze i nieraz się zdarza. Bywa i tak, że kwestionowanie podjętych uchwał jest w istocie wybiegiem pokrywającym beczynność, brak woli do działania. (Kazimierz Barcikowski sekretarz KC PZPR)

O REFORMIE

Trudności zaopatrzeniowe traktujemy, nie po prostu jako fakt ekonomiczny, ale przede wszystkim jako zjawisko społeczno-polityczne, moralne. Wysiłki podejmowane na tym polu są naprawdę ogromne. Na niektórych odcinkach rynku żywnościowego dotyczy to chociażby artykułów mącznych i cukierniczych, cukru i warzyw, zarysowuje się ostatnio pewna poprawa. Istnieją korzystne prognozy i w szeregu innych artykułów jak chociażby środków utrzymania czystości, higieny. Podjęte zostały, i powinny przynieść wkrótce pozytywne rezultaty, różne nowe usprawnienia w sferze dystrybucji i regulacji. (Wojciech Jaruzelski)

pytanie drażliwe

Gdzie się podziewa mięso z łomżyńskich chlewni?

EUGENIUSZ MAŁACHOWSKI, kierownik łomżyńskiego oddziału surowcowego Okręgowego Przedsiębiorstwa Przemysłu Mięsnego: — Przeważnie jest tak, że 2/3 dostaw z naszych punktów skupu wędruje do Białegostoku, a jedna trzecia do Elku. Ile do nas wraca w postaci gotowych wyrobów, nie wiem.

ZYGUNT MAZIŃSKI, dyrektor Wydziału Handlu i Usług Urzędu Wojewódzkiego: — Sam przydział mięsa w zasadzie pokrywa potrzeby kartkowe, gorzej z jego realizacją. Mamy jeszcze 5-6 ton załagłości z poprzednich miesięcy. Jak sytuacja przedstawia się w październiku? Na 785 ton otrzymaliśmy zaledwie 263 tony. Dlaczego tak się dzieje? Jest bardzo niski skup: za 14 dni października został zrealizowany w 18,7 procentach w trzodzie chlewnej i 16,6 — w skupie bydła. Już „góra” nadsyła nam propozycje abyśmy otrzymywali taki procent przydziału, jaki stanowi skup w naszym województwie. Wojewoda złożył odwołanie od tej decyzji.

TADEUSZ KARPINSKI, rolnik we wsi Kietlanka, gm. Zaręby Kościelne: — Ostatnio coraz więcej zarzutów kieruje się pod adresem chłopów, że nie hoduje, że nie chce sprzedawać. My cały czas jesteśmy na własnym rozrachunku i musi się nam opłacać i hodować, i sprzedawać. Popatrzmy: świnia kosztuje 11 tysięcy. Można powiedzieć, że to dużo, jak nigdy dotąd. Wystarczy jednak solidnie zastanowić się, jakie muszą być relacje cen: co mi z podwyżki ceny żywca, jeśli idzie za tym podwyżka pasz, zboża. Ale najważniejsze to to, że nic za te pieniądze nie można kupić.

punkt widzenia

prężna i aktywna

W przemówieniu końcowym na IV Plenum I sekretarz KC PZPR, towarzysząc Wojciech Jaruzelski zapowiedział zwołanie w ciągu kilku dni kolejnego — V — plenarnego posiedzenia i rozpatrzenia na nim m.in. propozycje ewentualnych zmian w składzie Biura Politycznego i Sekretariatu KC — z myślą o doskonaleniu ich pracy, zwiększeniu jej efektywności oraz uzgodnienie wniosków, które podlegają decyzji Sejmu.

Słowa dotrzymał. Plenum zostało zwołane w dziesiątym dniu od zakończenia obrad poprzedniego. Było to jedno z krótszych plenarnych posiedzeń instancji centralnej w historii naszej partii. Z punktu widzenia merytorycznego — nie rozpatrywano na nim żadnego nowego tematu. Obrady jego stanowiły właściwie kontynuację prac IV Plenum. Stąd też nie zachodziła potrzeba podejmowania problemowej uchwały. Mimo to wypracowane na V Plenum stanowisko i podjęte decyzje mają duże znaczenie z punktu widzenia ogólnospołecznego, jak i wewnątrzpartyjnego.

Do spraw o znaczeniu ogólnospołecznym zaliczam uzgodnienie stanowiska naszej partii, które I sekretarz KC PZPR i jednocześnie Prezes Rady Ministrów ma zaprezentować na najbliższym posiedzeniu Sejmu PRL. Chodzi tu w szczególności o poszukiwanie sposobu — tak potrzebnego krajowi obecnie — skuteczniejszego zdyscyplinowania gospodarki i społeczeństwa bez konieczności podejmowania środków ostatecznych; pozostawienie na okres przejściowy Wojciechowi Jaruzelskiemu aktualnie pełnionych funkcji w partii i państwie; urzeczywistnienie szerszego udziału socjalistycznych stronnictw politycznych i przedstawicieli bezpartyjnych w zarządzaniu państwem; rozwinięcie idei IX Nadzwyczajnego Zjazdu PZPR i IV Plenum w sprawie porozumienia wszystkich sił patriotycznych, stojących na gruncie fundamentalnych zasad ustroju PRL i międzynarodowych sojuszy naszego kraju. Porozumienie to powinno mieć znacznie szerszą i głębszą treść, bogatsze możliwości działania, bezpośrednio większą rolę w systemie socjalistycznego państwa, niż miało w ramach dzisiejszego Frontu Jedności Narodu; wyrażanie poglądu w koncepcji powołania autorytatywnego doradczego ciała rządu.

Już obecnie Czytelnicy wiedzą, że Sejm PRL w dniu 31 października br. podjął odpowiednie decyzje w trzech pierwszych sprawach i wyraził aprobatę wobec pozostałych. Stanowisko Sejmu jest zgodne z intencją V Plenum KC PZPR.

Wewnątrzpartyjnymi zdobyczami osiągniętymi na V Plenum są: akceptacja (zawartej w wystąpieniu Kazimierza Barcikowskiego) koncepcji Biura Politycznego skutecznej realizacji Uchwały IV Plenum i doskonalenia pracy centralnych władz partyjnych; odnowienie kierowniczych organów partii przez powołanie jeszcze jednego zastępcy członka Biura Politycznego i dwóch sekretarzy KC; zatwierdzenie struktury centralnego aparatu partyjnego i kierowników wydziałów KC (z wyjątkiem dwóch wydziałów, co nastąpi na kolejnym posiedzeniu plenarnym). W wyniku tej decyzji liczba wydziałów w Komitecie Centralnym, mimo powołania zupełnie nowego Wydziału Informacji Partyjnej, zmniejszyła się z 17 do 15. W znacznym stopniu został odnowiony również skład osobowy ich kierowników.

Uważam zatem, że V Plenum KC PZPR wniosło znaczny wkład do historii naszej partii, która musi być prężna i aktywna, jeśli musi decydować o najistotniejszych sprawach narodu i kraju.

WŁODZIMIERZ MICHALUK
I sekretarz KW PZPR w Łomży

z województwa

ODNOWIONY BALAGAN w sprzedaży maszyn wprowadza składnica w Szepletowie. Unieważnia dotychczasowe listy rolników oczekujących na sprzęt, tłumacząc to posunięciem potrzebą ponownej weryfikacji w urzędach gmin. Chłopów już szlag zaczyna trafiać, bo co przez pewien czas poczekają według kolejności jednej listy, to wnet proponuje im się nową, a tym samym i nowy porządek oczekiwań.

PO WIELOKROTNYCH USUNIĘCIACH z planu inwestycyjnego ruszyła wreszcie w Ciechanowie budowa stacji ujęcia i uzdatniania wody. Koszt docelowy obu przedsięwzięć wyniesie prawie 73 miliony złotych. Jednakże jakakolwiek nie byłaby to cena, Ciechanowicz zmuszony jest na nią przystać, gdyż korzysta dotychczas z prowizorycznego ujęcia wody.

UKONSTYTUOWAŁ SIĘ Społeczny Komitet Rozbudowy Szpitala w Ciechanowie. Stawia on sobie za cel podwojenie liczby oddziałów (z dwóch do czterech) oraz budowę nowych i modernizację starych obiektów. Starania Komitetu popiera mieszkający gminy: Boguty, Nur, Ciechanowiec, Perlejewo i Czyżew.

NACZELNIK URZĘDU GMINY W CZYŻEWIE jest autorem Kroniki swojej gminy od roku 1913. Dokument spisany ręką jego żony na czerpanym papierze, oprawiony w imitowaną cielęcą skórę zawiera

dzieje Czyżewskiej Ziemi od najdawniejszych czasów: zapiski o dzielnych wodzach najważniejszych bitwach, pierwszych pocztowych pojazdach i, ma się rozumieć, ewolucji władzy gminnej w Czyżewie. Reportaż o kronikarzu, szperaczu i historyku Bohdanie Piechu przedstawiamy w jednym z najbliższych numerów „Kontaktów”.

JUŻ ZA TYDZIEŃ — „Prasiedzku z Boryną”, pierwsza część eseju prof. dr hab. Zenona Wachnika, który w całości (trzy odcinki), przed publikacją planu konkursu reportażowego „Boryna 81”, przybliży wszystkim wielbicielom Reymonta warunki życia i koleje świadomości pierwowzorów postaci jego — nagrodzonego Noblem — dzieła. Tekst zilustrujemy oryginalnymi fotografiami rodu Borynów z — leżącego w pobliżu Lipiec — Makowa.

zdanie tygodnia

Polska potrzebuje dziś mądrości swego narodu. Wzywa nas do działania. Historia wybija godzinę ciężkiej próby. Chcemy z niej wyjść, możemy z niej wyjść i musimy z niej wyjść. Wrócić na szeroki trakt rozwoju. Dogonić swój czas. Przywrócić domom spokój, a ojczyźnie poczucie bezpieczeństwa i zwyczajnej pracy. (Wojciech Jaruzelski, I Sekretarz KC PZPR, premier Polski i minister obrony narodowej)

myśl z atestem

Gdy wieje wiatr, ruszają się konary drzew, ale to nie konary wiatr tworzą. (Z sentencji Wschodu)

Dąbrowa-Nowa Wieś nie zrezygnowała do końca ze swojej własnej szkoły. — Ostatni jej kierownik, Stanisław Markowski — mówi Lucyna Kutylowska — tyle nam naobiecował, ile to nasze dzieci w zbiorczej szkole zyskają na wiedzy, opiece, na wszystkim, żeśmy z początku się pogodzili. W rzeczywistości było inaczej. Dzieci mordowały się strasznie. Czekaliśmy do trzeciej, i te, co lekcie kończyły przed jedenastą, i te, co trochę później. Dopiero o czwartej „bonanza” wracała do wsi. Jak przyszła zima i drogi zawiąły, to lepiej nie mówić, ile zdrowia kosztowały nas te pięciokilometrowe wyprawy do Dąbrowy Wielkiej po naukę.

— A mogliśmy zostawić na miejscu chociaż te cztery klasy — dodaje Danuta Koc.

Już tak pod jesień zeszłego roku we wsi poszeptowano, że są szanse, by dzieci na powrót znalazły się w swojej szkole. Najpierw sąsiada, później już na zebraniach oficjalnych pytali władzę o prawdziwość tego, co słyszeli po chałupach. Chcenie szkoły udokumentowali szybko podaniem, złożonym u naczelnika gminy w Czyżewie, Bohdana Plecha. Ale z góry wiedzieli, że samo do nich nic nie przyjdzie, lecz wszystko zależy od tego, ile własnego czasu, chęci i energii poświęcą swojej szkole.

Było tylko nie przegapić! Na grudniowym zebraniu, w ubiegłym jeszcze roku, na którym byli i dyrektor Gminnej Szkoły Zbiorczej z Czyżewa, Andrzej Bańkowski i naczelnik, i cała prawie wieś, młoda i sędziwa, ustalili, że nie da rady inaczej, tylko trzeba potrząsnąć gospodarską kiesą.

Uchwalić i zadeklarować przychodzi najłatwiej. Tylko kto najlepiej potrafi dalej przekonywać, że trzeba wyłożyć niemającą przecież sumkę, kto nie będzie szedł z nogami i słowami, kto ma największy mir we wsi. Wiadomo wówczas było, że takie serce do sprawy może mieć tylko Franciszek Szepietowski. Przecież on przed laty całe to przedsięwzięcie społeczne ze szkołą zaczynał.

— Tak we mnie z dawna ta myśl tkwiła — wyjaśnia Szepietowski — żeby szkołę mieć u siebie, na miejscu. Ile się człowiek nałaził z jednej chałupy do drugiej, bo tę szkolkę przedwojenną i powojenną mieliśmy w kilku miejscach! Mało tego, że się nachodziłem, nawet zeszytu nie miałem gdzie położyć, pisałem na kolanach. Jeszcze kiedy byłem radnym Powiatowej Rady w Wysokiem Mazowieckiem, zacząłem się kręcić koło tej sprawy. Najpierw z sąsiadami gadaliśmy, jak i co, po ile od każdego wypadnie pieniędzy.

— Dogadaliśmy się wtedy — ciągnie dalej Stanisław Kozłowski — że szkoła musi być. I na pewno nie żaden barak, jak nam doradzali, ale porządny, murowany budynek. Od czegoś trzeba było zacząć. Więc nauczycieli i kilku rolników umyśliłi występy. Jeździli z komedijką po wsiach i ubierali trochę grosza. Z tych pieniędzy najpierw posadzili jabłoniowy sadek, niech sobie rośnie i czeka na uczniów.

— Plac pod budowę mieliśmy od dawna — opowiada Franciszek Szepietowski. — Nasi ojcowie go ofiarowali. Na szkołę cała wieś opodatkowała się wtedy po 100 złotych od hektara. A ja z kierownikiem szkoły, Święckim, chodziłem po chałupach i zbierałem pieniądze. Ale wciąż było za mało, by budowę zaczynać. No to robiliśmy jeszcze zabawy i cały dochód szedł do społecznej kieszki. Jak już worki z cementem, cegłą, wapnem i deski stopniowo gromadziliśmy na placu, to wiadomo było, że szkoła w Dąbrowie-Nowej Wsi stanie.

Tak gdzieś na początku lat sześćdziesiątych (jedni mówią, że w 1964, inni — że 1963) parterowy murowaniec powitał pierwszych uczniów. Za interesowanie szkołą nie skończyło się na zbudowaniu najładniejszego wtedy budynku we wsi. Rolnicy wzięli za honor jak najlepsze wyposażenie szkoły.

— Mieliśmy radio, telewizor, kilka maszyn do szycia, nowe stoliki, ławki. Jak zabrali nam szkołę, to i cały sprzęt zawieźli do Dąbrowy Wielkiej, a tam wszystko gdzieś przepadło — powiada Lucyna Kutylowska. — Mamy ten budynek własnymi rękami wystawili, a dzieci tymczasem zaczęły jeździć pięć kilometrów do zbiorczej szkoły. Tylko latem harcerze go wykorzystywali.

75-letni Franciszek Szepietowski swoje dzieci, syna i córkę, dawno już

wykształcił. Wnuczki też chodzą do miejskich — białostockich i oleckich — szkół. Mogłoby spać spokojnie, ale ta pustota w szkole straszyla go po nocach. A on zostawił tam przecież swoje męczące dni. Zabrał się energicznie do remontu. Kiedy załatwiankę papierkową miał już za sobą (— Władza mi w tym pomogła), ruszył po nowiuteńskich domach, od zagrody, do zagrody. A jest ich w Dąbrowie-Nowej Wsi blisko 60. Z każdego hektara wypadło po 150 złotych — tak wcześniej ustalili na zebraniu. Poszło nawet gładko, bo — jak utrzymuje Szepietowski — z każdym pogadano się tak od serca. Składka obiegła wszystkich mieszkańców. Placili

nawet ci, którym sprawa szkoły mogła być obojętna.

To prawda, że Szepietowski ma ogromny autorytet we wsi i wiele mógł nim osiągnąć. Ale istotna jest chyba również świadomość wsi: doskonale zdawała sobie sprawę, że uprawa oświaty jest dla nich tak samo ważna, jak uprawa buraka, z której wzięła początek wystawność zagród. Nikt nie myślał o szkole jak o podjadku wiejskiego dobrobytu. Nigdy też nie była na łaskawym chlebku, a zawsze wśród upraw chronionych specjalnym prawem.

Eugeniusz Godlewski doskonale wiedział, że na dobrowolnych datkach na remont się nie skończy i po-

dejrzewali nawet — a przez puste okna bez firanek i zasłon widać było tłum — że rolnicy okupują pomieszczenia szkoły, by coś wymusić od naczelnika albo innej władzy dać w kość. Ciasno zrobiło się w gabinecie dyrektora, który jest także pokojem nauczycielskim. Mówili o szkole, w kolejności wystąpień, przestrzegając ściśle hierarchii wieku i zasług. Mówili o tym, że potrzebne jeszcze centralne ogrzewanie i trzy czyny drogowe, że muszą kupić zasłony, że sił swych szczerzyć nie będą i wspólnym wysiłkiem pokonają trudności. Ale słowami opowiedzieć o tej pracy składnie nie szło. O wszystkim najlepiej świadczyła sama szkoła.

Zanim jeszcze budynek został wy-



uprawa oświaty

ALICJA ZAGÓRSKA



trzebne będą nie tylko ich ręce. Każda wieś, nawet w spokojniejszych czasach, ląkała materiał budowlanych, a cóż dopiero teraz, kiedy z nowym rokiem pustoszały w zastraszającym tempie geesowskie place i magazyny. Na przekór jednak wszystkim narzekaniom, biadoleniom, że nie da się zrobić, bo brak płytek PCV, farb, pędzli, kontaktów, i lepiej poczekać, aż kurek z kryzysem zamknie się pewnego dnia — wzięli się za remont, choć tak łatwo można teraz usprawiedliwić wszelką niemożność.

Dąbrowa-Nowa Wieś przepoczwacza więc swoje parterowe oblicze w silikatową szatę. Jako wieś rozbudowująca się mogła uszczknąć co nieco z budowlanych skarbów Worki z cementem, wapno, deski, cały ten nieosiągalny dobrobyt, przynosiłi sami mieszkańcy wsi. Z malowaniem też nie ślimaczyli długo. Wieś najęła malarza i — jak każdej prywatnej firmie — płaciła za końcowy efekt, a nie za gotowość do pracy. Więc zrobił wszystko starannie i w odpowiednim czasie.

Nie był to najlepszy okres na remontowanie szkoły. Nie dość że brakowało wszystkiego, to jeszcze pracy w polu zatrzymać nie było można. Więc ojcowie, skoro tylko słońce wzeszło, dzielili swój czas między pole i szkołę. Najszybciej przygotowali pomieszczenia dla nauczycieli. Dzisiaj już trudno wyliczyć, ile, kto i jakiej pracy włożył w remont. Wiadomo tylko, że nikt pracy nie odmówił i każdy miał w niej swój udział, nawet maluchy.

Krzysztof Choiński, dyrektor odremontowanej, ośmioklasowej szkoły w Dąbrowie-Nowej Wsi, powiada, że w jego rodzinnym Zanklewie, niedaleko Wizny, takie pospolite ruszenie nie miałyby miejsca. — Choćby nie wiem jak nakłaniać, przekonywać, to i tak szkole nikt nie przyszedłby z pomocą. Wynaleźliby tysiące przeszkód.

Na spotkanie z dziennikarzami, uczestnikami sesji Klubu Oświatowo-Wychowawczego SDP, poświęconej szkołom wiejskim, stawił się komitet rodzicielski przy szkole w Dąbrowie-Nowej Wsi w komplecie, choć dzień powszedni nie zwolnił ich od pracy w gospodarstwie. Dziennikarze po-

remontowany, komitet rodzicielski zaczął przemysliwać, w jaki sposób ściągnąć do wsi nauczyciela. A jest to wieś na krańcach gminy Czyżew, z drogą, którą kawalkami trzeba przelecieć, bo przejechać nie da rady. Czym skusić człowieka na taką głuszę? Dyrektor szkoły gminnej z Czyżewa bezbłędnie wytypował kandydata: Choińskiego. Nazwisko jakby znane. Przed laty przecież pracował u nich, był kierownikiem szkoły. Więc Godlewski, Kutylowski i Mościcki pośpieszyli już na początku kwietnia do Dąbrowy z delegacją po nowego dyrektora. Choiński okazał się młodym człowiekiem, który w Dąbrowie uczył dopiero od roku.

— Pewnie nie wypadło wycofać im propozycji, więc przez przypadek zostałem dyrektorem — żartuje teraz. — Jak przyjechałem obejrzeć mieszkanie, natychmiast powiedziałem: zgoda. W Dąbrowie miałem wynajęty pokój bez bieżącej wody, łazienki, kuchni. A tu wszystko, co potrzeba, i to odremontowane, odmalowane. Już w kwietniu, z kontraktem w kieszeni, telepałem się razem z dziećmi „bonanza” do szkoły, w której jeszcze do czerwca uczyłem, a po południu doglądałem remontu.

Nikt z dawnych nauczycieli nie powrócił do szkoły. W pięciu salach, dużych i przestronnych, uczy się 55 dzieci. A jeszcze należy doliczyć ósemkę z przedszkolnej klasy. Pięciu nauczycieli prowadzi lekcje w grupach nie większych niż dziesięcioosobowe. Przed drugą szkoła pustoszeje. Lekcje na jedną zmianę, to prawdziwy komfort dla pedagogów.

Dyrektor Choiński nie podziela moich obaw, że pewnego dnia nie będzie miał kogo uczyć, bo zabraknie dzieci.

— Na najbliższe pięć lat, tak wynika z mojego rozeznania, starczy nam uczniów do klas pierwszych. O dalsze lata też się nie martwię. Mam najświeższe dane: przychodzą do mnie znajome i w tajemnicy informują o każdej, która spodziewa się dziecka.

Fot. GABOR LORINCZY

szkoła - dom - wychowanie



Październikowa sesja Miejsko-Gminnej Rady Narodowej w Zambrowie zapowiadała się tajemniczo. W programie najważniejszym punktem miało być zatwierdzenie planu przestrzennego zagospodarowania miasta, ale do Zambrowa wybierał się również wicewojewoda Kazimierz Clapka, co kazalo przypuszczać, że powróci sprawa nie realizowanych postulatów socjalnych. Skądinąd wiadomo też było, że „stanie” nazewnictwo ulic, co zainteresowało mnie szczególnie, jako że w Łomży problem ten rozgrzewa serca i umysły nie tylko radnych. I to ostatecznie zdecydowało, że 6 października, ściśnięta wśród innych „kibiców”, spokojnie odczekałam otwarcie, zagajenie, krótką ciszę w punkcie „interpelacje radnych” i dłuższe wystąpienie naczelnika na temat założeń planu przestrzennego zagospodarowania miasta. Wyjść nie wypadało, bo naczelnik referował w zasadzie dla gości; radni już dawno zapoznali się z tym materiałem. Mimo głębokiego kryzysu ekonomicznego — plany na najbliższe trzy pięciolatki ambitne: miasto się uprzemysłowi i zurbanizuje, a wieś się „urolni”, choć zmniejszy się ilość gruntów pod uprawę, ale zwiększy ilość maszyn, usług i rąk do pracy na roli. Obiekty socjalne, z powodu których w tym roku kilka razy napinała się atmosfera w Zambrowie, powstawać teraz będą parami: dwie przychodnie, dwa przedszkola i dwa żłobki, pierwszy na 80 miejsc, a drugi — gigantyczny — na 180. Wizja niemowlaków w kombinacji bulwersuje mnie, ale uspokajam się myślą, że nasze tempo budownictwa stawa — jednak pewne luki czasowe i być może na projektantów najdzie opamiętanie.

Z tych refleksji zostaje wyrwana uspokajającym wyjaśnieniem, z którego wynika, że to nie jest plan tego, co będzie, lecz jedynie książka życzeń: architekci właśnie zarezerwowali miejsce na marzenia UMiG i innych instytucji. Radni podnieśli w akceptacji ręce.

Następny punkt to podjęcie uchwały w sprawie zmiany nazw ulic; ścisłam długopis, aby nie uронić z oczekiwanej, burzliwej dyskusji. Proponuje się zmianę nazwy z Leokadii Olikowskiej na Świętokrzyską oraz nazwanie jednej z nowo powstających ulic imieniem kardynała Stefana Wyszyńskiego. Znów bezdyskusyjnie liczone ręce: 43 za, żadnego przeciw. Podobnie gładko zatwierdza się przeniesienie 500 tysięcy z funduszu zasobowego Urzędu na rzecz Rejonowych Zakładów Gospodarki Komunalnej oraz propozycję dziesięciominutowej przerwy na papierosa.

Po przerwie przybywa jeszcze kilku obserwatorów, chociaż na razie nie dzieje się nic szczególnego. Wprost przeciwnie, przedstawiciel prezydium z góry przeprosza, że w następnym punkcie będzie się powtarzał, ale chodzi mu o dokładne przedstawienie wydarzeń, a raczej pism. Sprawa jest drażliwa — realizacja postulatów socjalnych „Solidarności”. Mówca z nawiązką dotrzymuje słowa: relacja brzmi dość mętnie i bezbarwnie. W skrócie — chodzi o natychmiastową konieczność stworzenia przedszkola, dodatkowych sal lekcyjnych dla Szkoły Podstawowej nr 3 i miejsc hotelowych dla Zakładów Przemysłu Bawełnianego. Ponieważ do końca lipca nie w tej sprawie nie uczyniono, 1 sierpnia oddział zambrowskiej „Solidarności” wystosował do władz pismo z konkretnymi propozycjami: w budynku PZPR zorganizować przedszkole, część gmachu UMiG przeznaczyć na hotel pracowniczy, zezwolić szkole na wykorzystywanie przed południem pomieszczeń Domu Kultury na zajęcia dydaktyczne, a do części pomieszczeń Komisariatu MO wprowadzić instytucje, które nie mieściłyby się w gmachu Urzędu Miasta i Gminy. W odpowiedzi PZPR wyraziła zgodę na oddanie innym użytkownikom jedynie parteru, a Sanepid stwierdził, że ten budynek nie nadaje się do adaptowania ani w części, ani w całości na przedszkole. Natomiast bez przeszkód Sanepid mógłby przenieść tam własne biura, a zwolnione przez niego lokale pozwolą na zwiększenie ilości miejsc w przedszkolach o 30, co już jest dużym ustępstwem. Komisariat MO odpowiedział zdecydowanie negatywnie: budynek jest w całości wykorzystany, a zagęszczenie na parterze dochodzi do 1,05 metra kwadratowego na pracownika, i żadnej innej instytucji wcisnąć się tam nie da. Na pocieszenie pada obietnica prezesa Szozdy: przyspieszenia budowy przychodni i pomocy w budowie hotelu robotniczego.

„Solidarność” nie czuje się usatysfakcjonowana tymi kontrpropozycjami. Zwróciła się do Miejsko-Gminnej Rady Narodowej o przeprowadzenie — w razie wątpliwości — do 15 października referendum społecznego. W przeciwnym przypadku „Solidarność” przedstawi votum nieufności wobec Rady Narodowej. Prezydium Rady prezentuje więc zebrany swoje stanowisko. Najpierw jest wstęp o regularnych spotkaniach od 19 marca, o dotychczasowej pozytywnej współpracy z „Solidarnością”, a potem — o tych, zaledwie

odwaga w nerwach

DANUTA
WRONISZEWSKA

czterech, nie załatwionych postulatach. Prezydium popiera raczej stanowisko władz, przypomina też radnym, że obiekty i lokale wojskowe, kościelne, milicyjne oraz organizacji społeczno-politycznych są wyłączone spod prawa lokalowego, więc ani naczelnik, ani Rada nie mogą żądać oddania części lub całości budynków Partii czy MO. Ponadto, zgodnie z przepisami, Rada Narodowa nie jest uprawniona do przeprowadzenia referendum.

rendum, a jeśli wierzymy — realizujemy ich postulaty.

Tadeusz Klimaszewski proponuje też przegłosowanie votum nieufności w stosunku do naczelnika Podeszwanego. Swoją rolę na piśmie składa Prezydium. Z ław dla gości podnosi się Władysław Rytelewski (członek „Solidarności”, od 27 lat pracuje w „Bawelnie”). Daje wyraz swemu oburzeniu wobec ignorowania miastotwórczej roli zakładu. Przypomina, że dzięki niemu powstał i gmach Urzędu, i żłobek, i przedszkole, i osiedle pokoszarowe. Zakładowy „Relax” jest jedynym klubem z prawdziwego zdarzenia; korzysta z niego całe miasto, a adaptowanie go na hotel jest kosztownym bezsenssem. Wyzbycie się budynku Urzędu było dużym błędem. Teraz produkcja jest zanizona o 18 procent, bo brakuje pracowników: — U nas żaden pracownik nie dopracuje emerytury. Prędzej czy później zabierze go „Mera-Blonie” i da mieszkanie. Ściąga my pracowników z innych województw, ale jak człowiek oddaje pół pensji na lokal, to korzysta z pierwszej okazji, żeby uciec do innego zakładu. Potrzeba nam 300 miejsc. Budujemy własny budynek, ale od dziś potrzebujemy pokoi i dlatego chcemy jedno skrzydło tego gmachu. Administracja może się ścieścić, a ludzie nie powinni mieszkać w baraku z dykty na nieuzbrojonym terenie.

Ten wywód uzupełnia inny gość, też „Solidarnościowiec”, Jerzy Jaśkow: — Nie jesteśmy idiotami czy osłami, żeby się upierać na konkret-

muszą być znane ogółowi społeczeństwa. Mamy nowoczesne urządzenia do wykrywania przestępstw, a brakuje nam miejsca na ich zamontowanie. Czy wyobrażacie sobie życie bez prężnie działającej MO? Obywatel sobie spokojnie śpi, a milicjant czuwa. I jeszcze żadnemu człowiekowi z „Solidarności” milicja krzywdy nie zrobiła. Wręcz przeciwnie: kiedyś jakiś działacz z WSS-u na zabawie sylwestrowej dostał w nos i skradł mu trzy tysiące. Milicja na balu nie była i rano zwróciła mu pieniądze. A kto odnalazł ukradzionego konia? Kto poskramia chuliganów? „Solidarność”? Społeczeństwo? Nie! Milicja. Przestępczość wzrosła ostatnio prawie dwukrotnie, co w części zawdzięczamy niektórym działaczom „Solidarności”, bo ludzie się rozdyktowali, dyscyplina spadła. To, że MO ich inwigiluje, jest bzdurą. Ale nie pozwolimy rozwieszać tych kłamstw. Nikt nie pozwoli na to, żeby były związki zawodowe milicjantów. Ludzie sami to zrywają: przynoszą do nas. Nawet członkowie „Solidarności” śmieją się z tych agitek. Ale poczekajcie, rzeczywistość okaże się jeszcze smutna. Ja nie straszę, ja mówię jako obywatel.

W ławach gości szum. Eugeniusz Łomociński, przewodniczący oddziału „Solidarności”, rzuca Danowskie-mu: — Proszę najpierw schwytać tych, co wieszają plakaty, a nie zwać na nas. My nie wywieszamy niczego, co by nie było sygnowane. Nie mieszamy się w wewnętrzne sprawy milicji.



Prowadzący zebranie radnych dodaje: — Dążenie do utworzenia hotelu w budynku UMiG jest poniekąd naturalne, bo taka była jego pierwotna funkcja, i właściwie dziwię się Zakładom Bawełnianym, że w 1968—69 tak mocno naciskały na zabranie im tego balastu. Pamiętam dobrze argumenty dyrektora Dudy: „My jesteśmy od produkowania przędzy, a nie hotelarstwa”. Dziwi mnie też, że tak duży zakład, zamiast pomagać miastu, myśli tylko o tym, z czego by je ograbić. Bo, prawdę mówiąc, co dał z siebie oprócz miejsc do pracy? A jeśli nie ma miejsc hotelowych, niech przeznaczy na ten cel swój dom kultury. Zamachy są jednak tylko na Miejski Dom Kultury, który służy wszystkim.

Jako pierwszy zabiera głos Tadeusz Klimaszewski. Przypomina o podstawowych obowiązkach radnego, po czym pyta siebie i innych, czy zawsze radny reprezentował swoich wyborców i czy w spełnianiu obowiązków wszyscy w radzie potrafili się już wyzwolić z utartych schematów, i układzików. — Czy będziemy jeszcze mówić, że jakieś racje są słuszne, ale nie powinniśmy się nimi zajmować? Sprawa budynku Komitetu jest o tyle bulwersująca, że najpierw jego przekazanie uzależniono od decyzji członków PZPR. Kiedy ich opinia okazała się pozytywna, odwrócono kota ogonem. Nie możemy zignorować postulatów „Solidarności”, która zrzesza 6,5 tysiąca ludzi i jest najbardziej reprezentatywną organizacją w tym mieście. Jako radni mamy dwa wyjścia: o ile nie wierzymy, że „Solidarność” prezentuje opinię społeczną, sięgnijmy po refe-

ny budynek. Ale denerwuje nas, że najpierw komisja ze służby zdrowia i Sanepidu kwalifikuje komitet do adaptacji, referendum wykazuje zgodę członków PZPR na jego przekazanie, a potem nikt o tym nie pamięta? Kiedy poszliśmy zobaczyć, jak wykorzystany jest rano Dom Kultury i czy ewentualnie dzieci z „trójki” mogłyby się tam uczyć, pani kierowniczka zapytała, kogo reprezentujemy. Nie rozumiem też, jakie prawo wyłącza Milicję Obywatelską ze społeczności. Nie wiem, czy w ich budynku można coś wygospodarować, ale niech to sprawdzi komisja mieszana, bo dlaczego mamy wierzyć jakiemuś oświadczeniu, skoro nam nikt nie wierzy i zakłada kartoteki?

Radny Danowski, komendant MO, odczuł pewnie to wystąpienie jako policzek. Wstaje, zapowiada, że przemówi jako i obywatel, i jako komendant. Wypowiada się jednak tylko jako obywatel: — Takie stanowisko prezentuje tylko prezydium „Solidarności” w Zambrowie, a nie szeregowi członkowie, nie społeczeństwo. To ich kole w oczy budynek partii i MO. Bo czy te 90 nie przyjętych do przedszkola dzieci jest taką straszną liczbą? Na dodatek duży w niej procent dzieci, których jedno z rodziców przebywa w USA. W Łomży też tak krzyżeli o budynek KW, a teraz nie się już na tej budowie nie robi. Najważniejsze okazało się odebranie go partii. Pan Klimaszewski powinien się raczej zająć swoim podupadłym gospodarstwem, które wymaga reperacji, a nie przedszkolami w Zambrowie. Przypominam, że wojsko i milicja są jednostkami militarnymi i nie wszystkie ich sprawy

Wacław Dąbrowski chce wiedzieć, ile swoich dzieci radny Danowski posyłał do przedszkola oraz jaką profilaktykę prowadzi jako komendant MO, i dziwi się, że milicja zambrowska nie korzysta z pomocy społeczeństwa. Sposób polemiki z Klimaszewskim uważa za niegodny i niesmaczny.

Stanisław Szpakowski z prezydium, trochę zażenowany, zabiera głos chyba przede wszystkim w celu odświeżenia atmosfery. Porusza bowiem wszystkie wątki, nie kończy zdań. A jeżeli nawet formalnie kończy, to nie bardzo wiadomo, po co zaczynał. Oto mała próbka tego wywodu: — Obywatel Jaśkow powiedział wyraźnie, że nie chodzi o to, żeby budynek PZPR zabrać na przedszkole lub służbę zdrowia, ale na klubie co innego powiedział, i chociaż w protokole to brzmi inaczej, nie szkodzi, on myśli inaczej. Poparłbym zdanie, że zakłady bawełniane dla Zambrowa coś zrobiły, ale do oczywiście ścieków nie dokładają ręki. Trudno by było podawać to, co mówił radny Klimaszewski, ale są na pewno trzy rzeczy, co do których nie mogę się zgodzić, że radny może coś takiego powiedzieć: votum nieufności dla naczelnika. Chyba Klimaszewski z nikim z radnych nie konsultował się. Jeżeli chodzi o przegłosowanie — niezależnie od tego, czy ktoś z rodziców wyjeżdża do Stanów — zawsze opieka w przedszkolu jest lepsza niż niania. Dlatego należałoby jak najszybciej stworzyć przedszkole. Kończówkę ma jednak mocną: — Jeśli chcecie referendum, to powinniście jeszcze przejąć władzę administracyjną i ustawodawczą. Wte-



dy będziecie mogli takie rzeczy robić. Problemy, które widzi „Solidarność”, widzą także władze. Kwestia tylko w szybkim ich załatwianiu.

Słabe okłaski kwitują tę wypowiedź. Jeden z radnych tłumaczy jeszcze, jak to jest z tymi przepisami, które nie zezwalają Radzie na przeprowadzenie referendum. Ano, jest tak, że nie ma przepisu zakazującego, ale też się nie przewiduje takiej formy kontaktu ze społeczeństwem. A jeśli się nie przewiduje, to wiadomo, że nie byłoby w zgodzie z przepisami. Oczywiście, gdyby Rada widziała taką potrzebę i tak uchwała, to też by nie było przestępstwem, bo nigdzie nie jest zabronione. Zachwycające rozumowanie. Prosto od Zagłoby. Jak już nie jest naszym działaniem przewidziane przepisem, lepiej poczekać, aż się w nim znajdzie. Całe szczęście, że biurokrata się nikt nie rodzi, lecz dopiero staje, bo jakże stresujący problem miałby niemowlak-biurokrata: czy może przyjąć na świat, kiedy chce, czy też powinien czekać w brzuszku, aż dostanie formalne zezwolenie.

Kiedy tak bawię się własnymi myślami, Klimaszewski wyjaśnia, że nie ma osobistych uraz do naczelnika, ale uważa, iż realizacja umów społecznych w Zambrowie przeciąga się w nieskończoność z jego winy. Jeszcze raz prosi o przegłosowanie swoich wniosków. Jednocześnie, w związku z dziwną atmosferą, która się wytworzyła wokół jego osoby, składa mandat radnego. W ławach zaproszonych okłaski, zza stołu przydławnego okrzyk ulgi: — A więc pańska interpelacja nie jest już aktualna?

— Przepraszam, składam ją jako radny.

Radni szemrzą indywidualnie. Nikt nie rwie się do przemówień. Przedwodniczący MGRN-u, Ireneusz Peczek, głośno snuje przypuszczenie: — Nasi radni chyba się przestraszyli wystąpienia Klimaszewskiego i teraz siedzą cicho. Przypominam wam hasło, które „Solidarność” powiesiła na swojej gazecie: „Kto się boi, nie ma racji bytu”. Podkreślam to, bo taka jest prawda. Szkoda też, że nikt z „Solidarności” nie ustosunkował się do propozycji Rady Prezydium nie pragnie najgorszych rozwiązań, ale nikt nie chce pójść na rozsądne ustępstwa. Przedszkole na 60 miejsc miało być oddane 1 listopada, lecz jeżeli „Solidarność” nie wyrazi zgody, temat będzie się przeciągać, a zarzuty pójdą pod adresem władz.

Radni jednak wyraźnie nie mają ochoty do zajmowania stanowisk. Goście swoje powiedzieli, nic nowego nie usłyszeli, przynajmniej w interesujących ich kwestiach społecznych. Bo fakt, że jeden radny wypowiada się o radnym, iż zajmuje się sprawami społecznymi, zamiast własnym polem, jest rzeczywiście dość niesłychany. Kiedy potem jeszcze naczelnik Podedworny delikatnie, lecz z trybuny i nie bardzo a propos, przypomni Klimaszewskiemu, że zaciągnął blisko milion kredytów od państwa, robi się rzeczywiście nieprzyjemnie. Wszyscy wiedzą bowiem, że za te pieniądze Tadeusz Klimaszewski wybudował oborę, w której coś trzyma. A ponadto takie długie ma bardzo wielu budujących się rolników.

Sąsiad szepcze mi: — Szkoda, nie powiedzieli, że Klimaszewski ma też Brązowy Krzyż Zasługi. Brązową Odznakę Janka Krasickiego i Złotą — aktywistę ZSMP.

Przerwywam szepczankę, by posłuchać wicewojewody Czapki. Potwierdza zgodę wojewody na przyspieszenie inwestycji: przychodni, żłobka, przedszkola i dwóch pawilonów dla służby zdrowia. Apeluje też do odpowiedzialności i sumienia obywatelskich, które powinny powstrzymać wszystkich przed niepotrzebnymi konfliktami. Wyjaśnia też, że roboty w niedosłownym gmachu KW, wbrew wygłaszanym opiniom, trwają. Są to prace wewnątrz budynku, dlatego niezbyt widoczne. Ewentualne opóźnienia wynikają jedynie z opieszałości w projektowaniu wnętrza.

Inne, krótkie zresztą, wystąpienia nie wnoszą już nic nowego. Obrady kończą się uchwałą nie podjętą. Zmarowało się trochę czasu, nerwów i nadziei. Nie wiem, czemu radni nie kwapili się z prezentowaniem swoich stanowisk i zupełnie nie rozumie, czemu nie przegłosowano jakiejś propozycji rozwiązania. Były co najmniej dwie Czyżby chodziło jedynie o zlikwidowanie powodu do ogłoszenia wotum nieufności wobec Rady? Przecież problem, jak chciała „Solidarność”, został postawiony. Został.

Fot. GABOR LORINCZY

Z uznaniem należy powitać fakt pojawienia się na łamach prasy artykułów poruszających złożone problemy oświaty, jej słabości i potrzeby, bo wiąże się z tym nadzieje, że im szersza będzie społeczna świadomość roli dobrej szkoły w życiu narodu, tym szybciej zostaną stworzone warunki do pełnego rozwoju szkolnictwa i podniesienia poziomu edukacji młodzieży na miarę potrzeb współczesnego życia i przyszłości naszego kraju.

O tym, że szczególnie szkoła boryka się z wieloma trudnościami i dlatego nie może w optymalny sposób pełnić swej funkcji społecznej, niech świadczy fakt, że obecnie w uczelniach wyższych kraju studiuje zaledwie 7,4 procent młodzieży wiejskiej, gdy niemal 50 lat temu wskaźnik ten wynosił 8,3 procent. Stąd też nie trzeba nadmiernego wysiłku, żeby wskazać ujemne przykłady i słabe strony szkoły wiejskiej.

Autorka artykułu „Kłanie ciemnoświeconego”, Róża Józefa Pisarczyk („Kontakty” nr 33/60 z 23.08.1981 r.), posłużyła się w tym temacie przykładem gminy Rutki. Słusznie sygnalizuje trudną sytuację lokalową szkół, kłopoty z dożywianiem, ogrzewaniem. Gorzej, że nie chce czy nie umie spojrzeć obiektywnie na poruszone problemy, przemilcza jedne informacje, zabiera np. od opiekuna gminy, wyolbrzymia inne, tworząc w sumie obraz zniekształcony, a przedstawione przez nią propozycje zmian są nierealne i wydają się co najmniej dziwne.

Nie prowadząc badań, nie znając codziennego życia szkoły, przekreśla bezpodstawnie jednym lekkim pociągnięciem ciężkiego pióra pracę szkoły, twierdząc, że „szkoła stała się w niej (w gminie Rutki — Cz. N.) urzędem skłóconym z nauczycielami, dziećmi i ich rodzicami”. Twierdzi, że „troskę o dobro wychowanie najmłodszych zastąpił teoretyczny... Paragraf — mamona”. Trudno byłoby bronić tezy, że wszyscy nauczyciele pełnią swe funkcje wychowawcze w stopniu idealnym, ale niezbyt jest fakt, że mimo różnych trudności wielu nauczycieli pełni swe nauczycielskie powinności w sposób sumienny i godny. Są tacy nauczyciele i w Rutkach. Ale jeśli znajomość p. Redaktora problemów szkolnych jest tak głęboka, jak znajomość historii Rutki — o których pisze, że są zwyczajną parafialną miejsciną, gdy tymczasem prawa miejskie ta „miejscina” utraciła już na początku XIX wieku — to nie dziwne, że w artykule znalazło się tyle nieścisłości, tendencyjnych przekształceń czy wręcz nieprawdy.

Tak np. nieprawdą jest, że w Dębniakach na wykończeniu jest duża tyśiąćlatka, która mogłaby być Zbiorną Szkołą Gminną. Czy można pisać „na wykończeniu”, skoro stojące tam ściany parteru, tymczasowo zasklepione, to zaledwie około 10 procent tego, co mogłoby być szkołą zbiorczą. A gdyby tak skorzystać z propozycji p. Redaktora i wybudować gminną szkołę w Dębniakach, a dom nauczyciela w Rutkach. Wówczas do szkoły w Dębniakach uczęszczałoby około 30—40 uczniów z tej wsi, bo przecież z obwodu szkolnego Modzele Górki i Rutki tam dzieci nie pójdą. Zatem w każdej z 12 sal tej szkoły — gdyby nawet była tylko parterowa — uczyłoby się przeciętnie 3—4 uczniów na jedną zmianę. Fakt, że w wielu przepelnionych szkołach województwa uczęszcza obecnie po 40 uczniów na dwie, a nawet trzy zmiany, autorki nie interesuje. Tego lepiej nie wiedzieć.

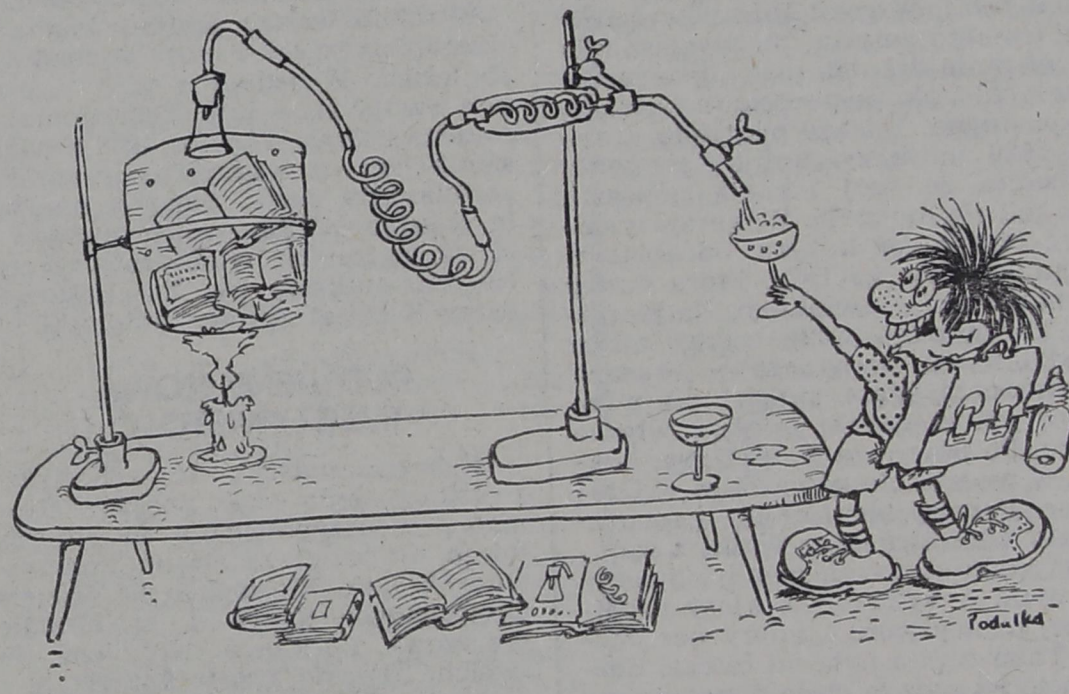
Czym mogą zaimponować Dębniakom, aby zlokalizować tam szkołę? Autorka projekt swój uzasadnia m.in. tym, że w pobliżu przebiegu ruchliwa szosa Warszawa—Białystok, choć nie wyjaśnia, do czego to szkole potrzebne, a powszechnie wiadomo, że im bliżej szosy, tym więcej wypadków drogowych wśród dzieci. No i sklep w pobliżu, to też argument, a że taki zwykły jak w każdej wsi, to nie szkodzi, ale jest. Tego natomiast, że w pobliżu znajduje się zakład produkcyjny wydzielający przykry fetor, p. Redaktor z budową szkoły nie kojarzy. Idźmy dalej. W jaki sposób autorka rozwiązałaby problem dowożenia nauczycieli z Rutki do Dębniaka po zabudowaniu domu nauczyciela w Rutkach, tego nie porusza, bo po prostu nie dostrzega, że w każdej większej szkole nauczyciele pracują w różnych godzinach, a często przecież po przerwie obiadowej mają zaję-

cia pozalekcyjne, akademie itp. W tej sytuacji dowożenie nauczycieli na trasie Rutki—Dębniak musiałoby trwać bez przerwy wiele, wiele godzin. To dopiero „dorobitę” się SKR, aczkolwiek prawda jest taka, że SKR w Rutkach nie pobiera za dowożenie dzieci wyższych opłat niż powszechnie obowiązujące, ale to nie przeszkadza p. Redaktor, żeby nazwać SKR lichwiarzem.

Powyższe fakty wskazują dobitnie, że budowa szkoły zbiorczej w Dębniakach jest nierealna, pomysłem chybionym, i chyba bardziej cho-

kicanie ciemnoświeconego

dzi p. Redaktor o zdobycie taniego pokłasku u mieszkańców Dębniaka niż o pomoc w rozwiązywaniu nabrałych problemów oświaty w gminie Rutki. W tej sytuacji budowa zbiorczej szkoły w Rutkach jest decyzją jedynie słuszną i stąd nie upór władz gminnych i wojewódzkich, a liczenie się z faktami. To prawda, że istnieje pilna potrzeba budowy szkoły w Rutkach, tego nikt nie kwestionuje i decyzja taka zapadła kilka lat temu, a że realizacja była przesuwana na kolejne lata, to nie wynika z wielokrotnego „gubienia dokumentów” i opieszałości władz gminnych czy wojewódzkich, jak uszczypliwie twierdzi p. Redaktor, lecz z sytuacji gospodarczej kraju drugiej połowy lat siedemdziesiątych. W każdym bądź razie decyzja władz wojewódzkich



Rysunek Andrzeja Podulskiego

w tej sprawie jest jasna. Pierwszą zbiorczą szkołą gminną, jaką będzie mogła być budowana w województwie łomżyńskim, będzie szkoła w Rutkach.

Jako były opiekun gminy Rutki w zakresie szkolnictwa (przez okres półtora roku) z przykrością przeczytałem w artykule pomówienie p. Redaktora, że „Dyrektor Henryk Zaręba przyzwyczaił się do takiej sytuacji. Nawet cieszył się, że nie dostał „Jeleca” itd... bo jest akurat odwrotnie. Wcale się nie przyzwyczaił do tego stanu rzeczy i na miarę możliwości pełnił dobrze swe funkcje w wyjątkowo trudnych warunkach lokalowych, organizacyjnych i kadrowych.

Jeszcze jedna przynajmniej sprawa wymaga wyjaśnienia, a mianowicie liczba dzieci w rejonie szkolnym Modzele Górki: 45 czy 63? Głównie się autorka z mieszkańcami Modzeli i posadza Kuratora, że nie chce zaakceptować liczby 63, tak bardzo potrzebnej dla ewentualnego podniesienia stopnia organizacyjnego szkoły. Spieszę wyjaśnić, że Kurator nie chce zaakceptować liczby 63 tylko dlatego, że imienny wykaz dzieci tamtejszego obwodu szkolnego z liczbą 45 wręczył mi osobiście nie kto inny, jak Karol Modzelewski z Modzeli. Czy p. Redaktor ma jeszcze wątpliwości?

CZESŁAW NICEWICZ

Uprzejmie dziękuję, że jako były opiekun oświaty gminy Rutki podjął Pan próbę obrony stanowiska władz oświatowych w sprawie sytuacji dzieci uczęszczających do ZSG w Rutkach. Nie podaje Pan jednak przykładu działania, który miałby tę sytuację poprawić, o-

prócz znanej od kilkunastu lat śpiwki, że trzeba wybudować nową szkołę właśnie w Rutkach. Stawia mi Pan natomiast zarzut kłamstwa i tendencyjności. Nie takiej reakcji oświaty oczekiwaliśmy i zapewne nie takiej oczekiwaliśmy mieszkanie zainteresowani sprawą. Zarzuca mi Pan autorstwo propozycji wybudowania szkoły w Dębniakach, a domu nauczyciela w Rutkach, tymczasem to Pan jest autorem tej radosnej twórczości. Rzekomo nie informuję Czytelników o przykrym fetorze z pobliskiego zakładu. Posądzam kuratora o to, że nie chce zaakceptować prawdziwej liczby dzieci w Modzelach.

Proszę Pana, grzeczność wymaga, żeby artykuł dokładnie przeczytać, zanim oskarży się dziennikarza o

dezinformację. Myślę, że przy odrobienie chęci potrafi Pan znaleźć odpowiednie cytaty w moim artykule. Odbijając piłeczkę: uważam, że władzom oświatowym, gminnym i wojewódzkim nie zależy na informacji, ilu uczniów mogłoby uczęszczać do szkoły w Dębniakach, gdyby była nowoczesna, z solidną kadrami i zapleczem. Ich głowa w tym, jak nakłonić okolicznych mieszkańców wsi do uznania konieczności ukończenia budowy. Okazuje się jednak, że w takiej propagandzie wyżej wymienieni nie mają tradycji i wypracowanych form pracy. Łatwiej przecieć stwierdzić, że do szkoły tej nie chodząby dzieci z okolicznych wsi, i zaczynać budowę nowych fundamentów, nie patrząc na to, że marnotrawi się społeczne pieniądze i pracę.

Wracając do listu: opiekun gminy Rutki winien wiedzieć, że w pobliżu szkoły w Dębniakach nie przebiega szosa Warszawa—Białystok, a droga Wysokie—Rutki, mniej ruchliwa może niż obecna ulica przy szkole i barze „Uniwersalnym” w Rutkach. Czy w zarzucie o przemilczeniu informacji chodzi Panu o to, co powiedział mi Pan odnośnie miejscowości Pensy: że pełni Pan funkcję opiekuna od niedawna i nie wie, ile dzieci jest w tej miejscowości? Czy o to, że w Rutkach „dyrektor na co dzień zajmuje się wyzębrywaniem izb lekcyjnych”? A może o kłamliwą informację Pana o tym, że mieszkańcy Dębniaka podjęli budowę szkoły na własną rękę?

Utrzymuję nadal, że SKR pobiera lichwiarskie opłaty za dowóz dzieci „buda”. Czy Pan widział ten „pojazd”? Bydło na rzeź wozu się w bardziej komfortowych warunkach.

Tak więc nie przekonuje mnie Pańska próba wmówienia mi i Czytelnikom, że dokończenie budowy szkoły w Dębniakach jest pomysłem chybionym.

Nie miałabym prawa kwestionować monopolu kuratora na jedynie słuszne decyzje, gdybym nie знаła sprawy budowy szkoły w Małym Plocku... Ale Pan zapewne wytłumaczy Mały Plock „sytuację gospodarczą kraju drugiej połowy lat siedemdziesiątych”. Cóż, Pan w miarę możliwości pełnił dobrze swe funkcje w wyjątkowo trudnych warunkach. A co z nie dokończonym budynkiem tyśiąćlatki? Czy nikt nie potrafi zająć stanowiska w tej sprawie?

ROŻA JOZEFĄ PISARCZYK

polemiki



Władysław Niksa zaścielił stół porzniętymi dokumentami — świadectwami minionej chwały, zaproszeniami na Akademii Ku Czci, na rocznicowe trybuny, gdzie robił za weterana ruchu robotniczego w wyreżyserowanych spektaklach. Z szuflad powyciągał dyplomy i podziękowania. Jedno z datą 7 listopada 1976 roku: „Za wkład w urzeczywistnianie idei Wielkiego Października”. Podpis — Gierek. Z biblioteczki wyjął dwie książki: „Z dziejów KKP w okręgu łomżyńskim” oraz „Ziemia Białostocka przypomina”, z kilku wierszami jemu poświęconymi. Jeszcze położył amatorskie zdjęcia z pierwszych lat walki „O władzę proletariatu miast i wsi”. W miarę jak żółkły te zdjęcia, czerwień sztandarów nad coraz okazalszymi Domami Partii — blakła. Toteż na dnie tej szuflady jest też gorzyc człowieka, który zasadził w młodości drzewo, a na starość zebrał z niego zepsute owoce.

Wertując codzienną prasę, Władysław Niksa rozmyślał nad przewrotnością historii, która jemu, wówczas dziewiętnastoletniemu młodzieńcowi, kazała podnieść pięść przeciwko „tamtej” władzy, tak jak teraz równie młodym kaze się buntować przeciwko tej władzy. Prawa rozwoju społecznego są nieubłagane, on wie o tym dobrze z dzieł klasyków, których zna na pamięć. Nie mogli tego wiedzieć jego następcy, którym lekturę Marksa zastąpiła lektura książeczki czekowej.

Idea jest słuszną — mówi z tą resztką ognia, tłącego się w, zdawałoby się, już w wypalonym ognisku. — Przyciągnęła mnie do niej bieda. Urodziłem się w roku 1907 w Kozłowie, gmina Grajewo. Sześć tygodni miałem, jak matka wywiozła mnie do Ameryki. Ojciec tam w kopalni robił. W roku 1912 powróciliśmy i matka zmarła. Na wychowanie wziął mnie dziadek. Jako jedenastoletni chłopak poszedłem na służbę, za pastucha. Widząc przyjsię w roku 1920 żołnierzy Armii Czerwonej sądziłem, że mój los się poprawi. Ale tak się nie stało. Wykorzystywano i bity przez kulaka, odrabiałem kilka worków kartofli, które dostał od niego ojciec. Uciekłem. Na Marcina, 11 listopada 1921 roku, ojciec zgodził mnie do bauera w Prusach Wschodnich. Tam żyłem pierwszy raz jak człowiek: miałem własne łóżko. Po powrocie w 1924 pracowałem w warsztacie kowalskim w Grajewie. Przeczytałem ulotkę i rozpoznałem właściwą ideę walki z kapitalistyczno-obszarniczym i kulackim ustrojem o wyzwolenie klasy robotniczej od wyzysku i zmory bezrobocia. Taka walka była mi bliska. Bezrobocie wypędziło mnie ponownie do Prus Wschodnich. Spędziłem tam siedem lat (wtedy na tak zwane saski wyjeżdżało do 350 tysięcy Polaków). Spotkałem się z gazetami w języku polskim. Czytałem „Głos Pracy”, wychodzący w Berlinie, i „Trybunę Radziecką” z Moskwy. Dzięki pismu „Kultura Mas. Bezbożnik” zerwałem na zawsze z klerem i kościołem. Literatura uzbrajała mnie w marksistowsko-leninowską teorię. W roku 1927 stałem się członkiem Komunistycznej Partii Niemiec. Jeździłem za pracą w skład egzekutywy Komitetu Rejonowego Prus Wschodnich, Związku Kulturalno-Oświatowego Robotników Polskich w Niemczech. Na I Konferencji zostałem jego sekretarzem. Nie było mi ciężko wiele nocy nie spać, nie było straszno brać udziału w demonstracjach organizowanych przez partię przeciw zdradzie SPD oraz walce z NSDAP i rządem sanacyjnym w Polsce. Gdy faszysty doszli do władzy, towarzysze niemieccy przetrzymali mnie do Wolnego Miasta Gdańska, skąd miałem wyjechać na szkolenie do Związku Radzieckiego. Masowe aresztowania członków KPD udermiły ten zamiar. Wróciłem do Grajewa. Zostałem aresztowany pod zarzutem kolportażu literatury komunistycznej. Od wyroku uratowała mnie amnestia. Zahartowany do dalszej pracy, wszedłem w skład egzekutywy Komitetu Rejonowego. Byłem pod stałą obserwacją. Co tydzień musiałem meldować się w komisariacie. Postanowiłem uciec przez Stolpce do Związku Radzieckiego. W lesie, tuż przy samej granicy, zatrzymał mnie oddział KOP-u. Przetrzymali trzy miesiące najokrutniejszych tortur: wyrwanie paznokci u rąk i nóg, bicie. Po tej lekcji byłem wzmocniony do walki z rządem gło-

du i terroru. W roku 1923 w Grajewie ruina gospodarcza pozbawiła ludzi pracy. Z bezrobotnymi szturmowali magistrat, żądając chleba. Burmistrz był zmuszony dać bezrobotnym, obciążonym liczną rodziną, dwa dni pracy w tygodniu, po dwa złote za dniówkę.

Tak wyglądało życie w sanacyjnym rajku. Ruszyłem w wędrowną podróż z tow. Teodorem Kuczyńskim. Poznaliśmy straszną biedę polskiego chłopca. Otrzymałem pracę przy melioracji rzeki Nurzec; dniówka — pięć złotych. Zdobyłem uznanie inżyniera Pastewskiego, który chciał mnie wysłać na szkołę techniczną i pokryć koszty nauki. Na zimę wróciliśmy do domu. Przed ponownym wyjazdem, w dniu 1 maja, wywiesiliśmy kilka czerwonych sztandarów. Kler z ambony potępił to jako zbrodnię. Natomiast setki żebraków nie były zbrodnią! W pracy zorganizowaliśmy zwycięski strajk o podwyżkę stawek akordowych dla trzystu robotników. 15 marca 1936 roku wezwano mnie do odbycia czynnej służby wojskowej.

monolog

czasu

zatrzymanego

Służyłem w 81 p.p. 3 kompan CKM-ów w Grodnie. W nagrodę za rzetelną służbę otrzymałem awans na kaprala i książkę „Cud nad Wisłą”, którą wrzuciłem do pieca, nie obawiając się pogroźek pod moim adresem. Ponownie wróciłem do pracy w melioracji. Zostałem majstrem budowy z wynagrodzeniem 120 złotych miesięcznie. W tym rejonie bardzo szybko rozpoznałem ludzi o moich przekonaniach politycznych.

W wielu wsiach działały komórki Komunistycznej Partii Zachodniej Białorusi. W jednej z nich poznałem swoją żonę Lubę, córkę małego chłopca. W roku 1933 z wielkim bólem serca przyjęliśmy wieść o rozwiązaniu partii. Sanacja nasyłała w szeregi KPP swoich agentów i ci rozszyfrowali wielu towarzyszy. Nie załamaliśmy się. Zorganizowaliśmy Komitet Antyfaszystowski.

BUDUJEMY NOWĄ RZECZYWISTOŚĆ

Niebezpieczeństwo najazdu hitlerowskiego było coraz większe. Granice nieprzygotowane do obrony, mimo ostrzeżeń ze strony komunistów. Wojna. Walczyłem na froncie Częstochowa—Kutno i w obronie Warszawy. Po klęsce wróciłem do swoich. Białostocka skorzystała z czasowej ulgi. Jej tereny, po uzgodnieniu z Niemcami, zajęła Armia Czerwona.

Nas, komunistów, władza radziecka nie uznawała za członków KPP. Mówili, że muszą nas poznać, przeszkolić i dopiero wtedy będą mogli przyjąć do KPZR. Otrzymałem pracę jako kierownik hurtowni i ekspedycji w Rajpotrebsojuzie. Zostałem też (znam język niemiecki) wytypowany do zorganizowania wywiadu na rzecz Armii Czerwonej. Czulem się chory, ale obiecano mi leczenie na Krymie, co nie spełniło się do dnia dzisiejszego. Jednak zaszczerpnym i zahartowanym ideą komunistyczną, podjąłem się tej ciężkiej i niebezpiecznej pracy, za którą nie pobierałem żadnego wynagrodzenia. W Niemczech znalazłem wielu towarzyszy, którzy przyjęli na siebie obowiązki pracy w wywiadzie radzieckim. Jeden z nich przekazał mi informację o budowie kwatery Hitlera w Kętrzynie. Kilka razy chodziłem na stronę niemiecką po odbiór szkieł i informacji. W tym czasie z niewoli niemieckiej uciekło wielu żołnierzy polskich, których aresztowali Rosjanie, ale tu czy tam i tak by siedzieli. Kolejny raz miałem iść 19 czerwca 1941.

Zona: — Złe się czułem, mordowała go padaczka. Krym i Rzym mu obiecywali, żeby tylko szedł. Nie zgodziłem się. Poszedł za niego tow. Bronisław Puchalski.

Odprowadziłem go do granicy, gdzie już słyhać było ruchy wojsk pancernych. Z tow. Puchalskim widziałem się po raz ostatni. Wielu wywiadowców wykryło i aresztowało gestapo. Sztab Armii Czerwonej nie zaopatrywał wywiadowców w potrzebne dokumenty ani w broń. W moim rozumieniu — przyczyną zdrady było samo kierownictwo i taktyka; brak czujności, zdrada Własowa i innych.

WIECZOREK MUZYCZNO-ODCZYTOWY

W sobotę, 21 czerwca 1941, z rana wysłano dwa składki pociągów załadowanych zbożem na stronę niemiecką, według umowy handlowej, zawartej między ZSRR i Niemcami. Po całodiennej pracy w Domu Kultury odbywał się wieczorek muzyczno-odczytowy na temat: „Jak powinna zachować się kobieta w czasie wojny na tyłach wroga”.

Zona: — Orkiestra tak pięknie grała, ale nikt nie tańczył. Każdy przeczuwał, że coś niedobrego się stanie. Mąż był w kinie i przed dwunastą wrócił do domu. Koło pierwszej zbudził mnie i powiedział: „Wojna”.

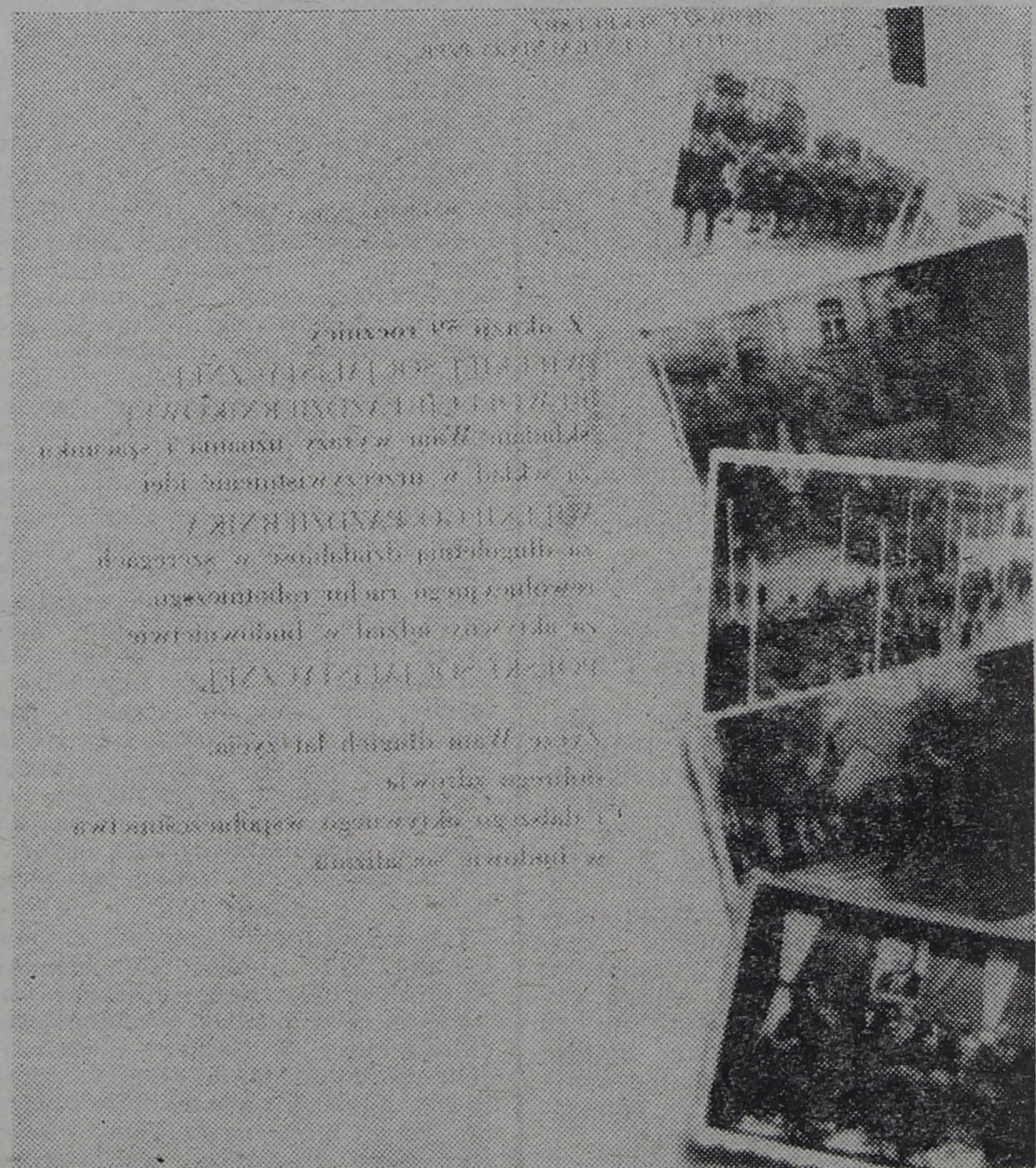
— Nie wiedziałem, czemu jestem niespokojny. I wyjaśniło się: radzieckie wagony, po zbożu, załadowane

ADAM JERZY SOCHA

wałem się wydania przez endeków. Polscy faszysty byli gorsi niż Niemcy. Wieczorem z dziećmi opuściliśmy miasto. W tym czasie w Grajewie trwały łapanki, za mnie wyznaczono nagrodę 15 tysięcy marek. Pamiętam, jak na szosie Goniądz — Mońki zatrzymał nas oficer Wehrmachtu, jadący motocyklem. Zapytał o drogę do Grodna. Wyjaśniłem mu. Bardzo go zdziwiło, że z dala od granicy spotkał człowieka mówiącego poprawnie po niemiecku. Podał mi paczkę papierosów „Juno”, a dzieciom dał czekoladę. Trochę podwiózł nas rolnik i tak dotarliśmy do wsi Kradocznia w gminie Narew, do rodziców żony. Naszym świętym obowiązkiem było prowadzić walkę przeciw okupantowi. Zona obserwowała ruchy wojsk na stacji kolejowej Białostok oraz reperowała i szyla bieliznę oraz umundurowanie partyzantom z oddziału Feliksa Dzierżyńskiego. Członkowie naszego komitetu antyfaszystowskiego opiekowali się uciekinierami z obozów zagłady oraz wspierali grupy bojowe. Do mnie należało codzienne odbieranie wiadomości radiowych z Moskwy i Londynu oraz przekazywanie ich partyzantom. Gdy przypadkowo wydało się, że znam język niemiecki, zatrudniono mnie jako tłumacza w Amtzkomisariacie. Dzięki tej pracy zdobywałem dokumenty dla żołnierzy radzieckich i uprzedziłem o przygotowanej obławie. Przed ofensywą wycofaliśmy się bliżej wojsk radzieckich. Tam napotkałem radzieckiego zwiadowcę, któremu udzieliłem informacji i wskazałem miejsce przeprawy.

WYKUWAM CHLEB Z ODŁOGÓW

Na wyzwolonych terenach formowała się nowa władza. Zostałem radnym Powiatowej Rady Narodowej w Bielsku Podlaskim, 1 sierpnia 1944 roku dostałem legitymację członka PPR-u z numerem 80, zona — 81. Wróciliśmy do domu i z energią przystąpiliśmy do powiększania szeregów partii i organizowania Rad Narodowych, w oparciu o jedność robotniczo-chłopską. Manifest Lipcowy był naszym drogowskazem. Powołano mnie na kierownika Referatu Wojskowego. Zwerbowałem 104 osoby do szkół oficerskich i dla Urzędu Bezpieczeństwa. Zakładałem jednocześnie związki Samopomocy Chłopskiej. Trzeba wiedzieć, że w tym czasie działała reakcja. W lutym



Zona: — Ja nie wiedziałam, co robić. Wpada sasiadka i krzyczy: będą zabijać, u kogo komunistyczne książki znajdują. U mnie pełno tego było. Chciałem spalić w piecu. Nic z tego. Oderwałem deskę i wszystko pod podłogę. W tym momencie zobaczyłem pierwszego Niemca, który zaczął strzelać. Ktoś powiedział, że mąż zginął. Za chwilę okazało się, że to sasiadowi rękę i nogę oderwało. Wszędzie pełno było wojska.

— Stanowczo myślałem o opuszczeniu całkowicie Grajewa. Spodzie-

1945 roku, już po zwycięskiej ofensywie, otrzymałem delegację.

„Białostok, 5 lutego 1945

Delegacja

Deleguję ob. Niksę Władysława do pełnienia funkcji Starosty Powiatowego na powiat Eik (Lyck) w Prusach Wschodnich.

Wojewoda białostocki dr J. Sztachelski”

— Muszę oświadczyć, że do tego czasu nawet sołtysem nie byłem, i przy małym wykształceniu (sześć oddziałów) trudno było mi poznać pra-





Trzydzieści trzy tapczaniki i dwa biurka — wszystko w dobrym stanie — kazał porządkować oczach ciżby kierownik internatu Technikum Weterynaryjnego w Łomży i jego zastępcę. Swą decyzję usprawiedliwiał tym, że żaden zakład nie chciał przyjąć mebli do naprawy. Kierownik, zapytany dlaczego nie sprzedał sprzętu, choćby zbulwersowanym widowskim przechodniom, odparł: — Protokół został spisany i trzeba zniszczyć! Trudno tu o śmieszne puentę — proponujemy atrapę uśmiechu społecznego blazna.

Poszukujący kalki ołówkowej ma szansę nie tylko ją dostać, ale i w nadmiarze — całą paczkę za 120 zł. W dobie totalnej reglamentacji stać nas na luksus rozrzutności, który wspinał się poprawia samopoczucie. Odkryliśmy jego cel — możliwość szybszego powielania absurdu.

Technik-ogrodnik z gminy Szumowo zakontraktował 40 ton marchewki i 10 ton buraków ćwikłowych. Z umowy się wywiązał, lecz punkt skupu w Zambrowie dostaw przyjąć nie chce. Racja — banany smaczniejsze.

Skup tytoniu w Łomży odbywał się raz w miesiącu. Chociaż plantatorom wyznacza się godzinę odbioru surowca i tak muszą czekać przez cały dzień, jakby skupujący czekali na dodatkową zachętę. „Damy im któregoś dnia popalić!” — przyrzekają dostawcy.

Ser, produkowany przez mleczarnię w Wysokiem Mazowieckiem, oprócz tego, że jest biały i chudy, jest też przeraźliwie kwaśny. Niektórzy twierdzą, że po reformie charakterystyka tego rarytasu się zmieni, wzbogacając o nowe — dzięki cenom — określenie: słony. Czy chociaż wtedy zachęci się prezesa do konsumpcji?

Część Łomżan z ulicy Glogera wydeptała ścieżki przez parkowe trawniki. Szanując zwyczaj ludu ratuszowa władza skwapliwie ścieżki wyasfaltowała, chociaż nikt się o to nie upominał. Sądząc po ilości obiektywnych bram w miesieci, hołdzie magistratu dla woli ludu i jego logice poczyniła niedługo będziemy mieli drugą Łomżę. Wychodkowa.

Do wykończonego budynku SKR w Szczuczynie nie mogą wprowadzić się lokatorzy, ponieważ ciepło na jego ogrzanie zabrała linia swarów między dyrekcją Spółdzielni a elektrociepłownią. Szefostwo twierdzi, że podłączyć jeszcze jeden budynek to nie problem, a ciepłownicy — że za wiele tego na ich moce produkcyjne. Gdzie były obie strony, gdy rzecz całą planowano? W krzakach najpewniej.

Od dłuższego czasu „Gazeta Współczesna” w „Fetionie Faktu” korzysta ze „Spieć”, nie zdradzając jednakże, iż bierze je od nas. Nieświadoma białostockiego obyczaju „Polityka” informację z „GW” przedrukowuje, oddając jej przy tym cześć za wynajdowanie materiału, co ta przybija bez żenady. Po raz pierwszy będziemy z owych „pożyczek” radzi, gdy „Gazeta” przechwyci to właśnie „spieć”, a popularny tygodnik powtórzy je. Nawet bez podania źródła.

Sierpień 1980 roku bardzo źle przeżywałem. Wszystko było zatajone. Szeregowi członkowie partii mieli pracować i popierać. Przychodziło pismo z góry: odczytać, nie dyskutować i potwierdzić. My, pionkowie na dole, nie widzieliśmy, co oni w Warszawie wyprawiają. Chcieli zrobić dziesiąte mocarstwo świata! Likwidowali wieś, a budowali przemysł. Nie pytali robotnika i chłopca, czego potrzebuje. Wstydzili się klasy robotniczej, ale całą gotówkę, przez nie wypracowaną, trzymali w swoich portfelach. No i narobiło się.

Kto przeprosi proletariusza? Mam wielki żal, wisi mi już 80 lat na nosie. Tyle pracy włożyłem od 1926 roku! Człowiek rwał się do roboty. Tłumaczył robotnikom, że co dzień będzie lepiej. W każde święto i niedzielę pracowałem przy odgruzowywaniu i melioracji; 27 hektarów lnu uprawialiśmy i oddaliśmy państwu, nie biorąc grosza. Jak byłem starostą, mogłem nachapać różnych drogocennych rzeczy, zrobić sobie zapas. Ile kryształów leżało wtedy po piwnicach... Niczego nie ruszyłem. Liczyłem na to, że socjalizm zbuduje domy dla wszystkich, tylko trzeba pracować. I pracowałem, pracowałem, pracowałem.

ZŁOTE NOCNIKI

W komunizmie wartość złota powinna być taka, żeby nocniki z niego robić. Inne wartości powinny być cenniejsze, ale tę teorię spełniłoby dwóch-trzech ludzi na kuli ziemskiej. Dzisiaj nie wolno narzucać własnych praw. Trzeba pytać ludzi, czy to im się podoba, czy nie. W komunizmie powinien być jeden język, np. esperanto. Gdyby cała ludzkość mówiła jednym językiem, nie byłoby podziałów na narodowości, na czarnych, żółtych i białych.

— A na łakach żeby rósł tylko jeden gatunek kwiatów, żeby fruwały tylko wróble, a ludzie mieszkali w jednakowych domkach, czy tak?

— Ale jak jest jeden język, to w każdym zakątku świata jest przyjaćiel. Reformy muszą być. Wybory pięcioprzymiotnikowe, samorząd robotniczy... Tylko trzymajmy się Układu Warszawskiego. Trzeba przyjąć obciążenia i ratować dom. Dogadamy się, jak elementy wrocie odstąpią od „Solidarności” i od partii.

— Kto jest tym elementem?
— W „Solidarności” to byli obszarnicy i kapitaliści, a w partii — burokraci i złodzieje.

Zona: — Dzieci mają żal do nas. Pytają, co my mamy z tego. Tłumacząc, że pracowaliśmy dla ogółu, żeby Polska była sprawiedliwa. Nie z naszej winy zboczyła.

Córka Halina (członek „Solidarności”): — Ojciec poniósł klęskę w sensie materialnym. Tyle że dzieci wychował i domek wybudował, który do dzisiaj spłaca. Ile ja wycierpiałam, mając ojca komunista. Wytłakano mnie palcami w szkole. Nigdy bym nie chciała być takim ideowcem.

Córka Krystyna. Nie zastałem jej w domu. Poszła na różaniec.

Syn Stanisław (członek PZPR, funkcjonariusz MO w stopniu plutonowego): — Widzę wielką krzywdę ojca. Został odsunięty na boczny tor. Nie otrzymał naszej renty partyjnej, tylko NRD-owska, i to niedawno. Przedtem dostawał 800 złotych renty chorobowej. Mnie to wkurzało. Działaleś i gówno z tego masz! Jest zagubiony. Inaczej sobie wyobrażał Polskę Ludową. Nikt nie miał w niej drzeć o egzystencję. Nie umiał żyć w nowych realiach. Zrobił jeden olbrzymi błąd: gdy chciano wysłać go do szkół, wybrał pracę, a później nie mógł nadrobić tego dystansu.

Teodor Kuczyński (współtowarzysz): — Zachwyciłem się tą ideą. W partii jestem od 1931 roku. Za nią siedziałem w obozie koncentracyjnym. To, co się stało, traktuję jako osobistą porażkę. Mało na ulicę wychodzę. Tyle co po chleb i mleko. Wstyd mi. Proszę nie pisać, nie ja zawiniłem, dlaczego więc mnie podawać do prasy. Zawinił wykonawcy. Idea jest słuszna.

Idąc ciemnymi uliczkami do autobusu mijalem ustawiające się pod sklepami kolejkę. Ludzie z nich nie chcą przeprosin: chcą jeść.

Fot. GABOR LORINCZY

wo. A początek był ciężki. Szaber i złodziejstwo tkwiło w każdym. Władza należała jeszcze do Komendatury Radzieckiej. Moimi współpracownikami byli ujawnieni członkowie AK i NSZ. Zabraliśmy się do roboty. Trzeba było usunąć trupy. Z żywych został tylko ksiądz katolicki i młynarz. Młynarza zabił komendant. Powiedział mi: „Nie żałuj ty jego, mniej będzie wrogów nowego ustroju”.

Miasto zatłumniało się. Napływali repatrianci ze Lwowa i Wilna. Uruchoμίłem szpital, było już światło, ruszyła gorzelnia, piekarnia, młyn wodny. Wyplekaliśmy pierwszy własny chleb. Rosjanie oddali motocykl ze stacji pomp, które wywieźli już do Królewca, i popłynęła woda. Elk stał się normalnym miastem.

Nie podobałem się przedstawicielowi pana Mikołajczyka, delegowanemu z Warszawy. Powiedział mi, że na silną Armię Radziecką jest bomba atomowa. Chwyciłem na niego broń i wyrzuciłem go z biura. Po tym zdjęto mnie z funkcji. Wezwał mnie do siebie premier Osóbka-Morawski. Tłumaczył, że na takie wysokie stanowisko mam za mało szkoły. Oskarżono mnie też o współpracę z Niemcami, bo byłem tłumaczem w Narwi. Przez 14 dni byłem przetrzymywany w piwnicy razem z bandytami. Po zwolnieniu objąłem dziesięciohektarową gospodarke. Jesienią 1946 roku otrzymałem konia z UNRRA i nasiona siewne. Wykuwałem chleb z odlogów.

Nie dano mi długo popracować. Kazano przyjąć stanowisko wójta w Jusze. W styczniu 1949 roku władze wojewódzkie skierowały mnie na przewodniczącego. Band wtedy było do cholery. Nie bałem się. Jeździłem po wszystkich gminach bez obaw. Byłem nawet w wiosce watażki „Wiarusa”. Wygłaszałem do radnych przemówienia. Uczciwie i szczerze mówiłem. Popłynęły podatki i dostawy. W Łomży żyłem kątem, jadłem gdzie popadło: zdarzyło się, że — zmarznięty — wypilem i wódkę.

Pracę swą wykonywałem z całych swoich sił, zwłaszcza na odcinku rad narodowych; ostatnio — jako zastępcę przewodniczącego Powiatowej Rady Narodowej w Grajewie. Wówczas zaczęły się nieporozumienia. Nie podobałem się już władzom partyjnym. Mnie interesowało życie klasy robotniczej, a ci na górze stworzyli biurokratyczną klikę. Wszędzie wytykałem, że o klasę robotniczą nie

wyjeżdżał obsłużyć niektóre zebrania gromadzkie; wybrałem się i ja do spółdzielni produkcyjnej. W okresie stalinowskim zakładałem spółdzielnię. Niestety, nie zdążyłem. Ludzie młodzi uciekali do miasta. Siłoma gnili w stertach. Narod nie był wychowany. Więc pojechałem do jednej z spółdzielni, ale nikogo nie było. Nie udało się na odpust. Gdy wróciłem na autobus powrotny, zostałem zaproszony na obiad. Wypiłem tylko symbolicznie. Po wyjściu milicjant poprosił mnie na posterunek, kazał oddać legitymację partyjną. Świadczyłem fałszywie zeznania, że upilem się i tłukłem garnki. Tylko jeden gość oświadczył, że choć podał go w 1952 roku do gazety za niewykonanie planu, nie będzie fałszywie zeznawał.

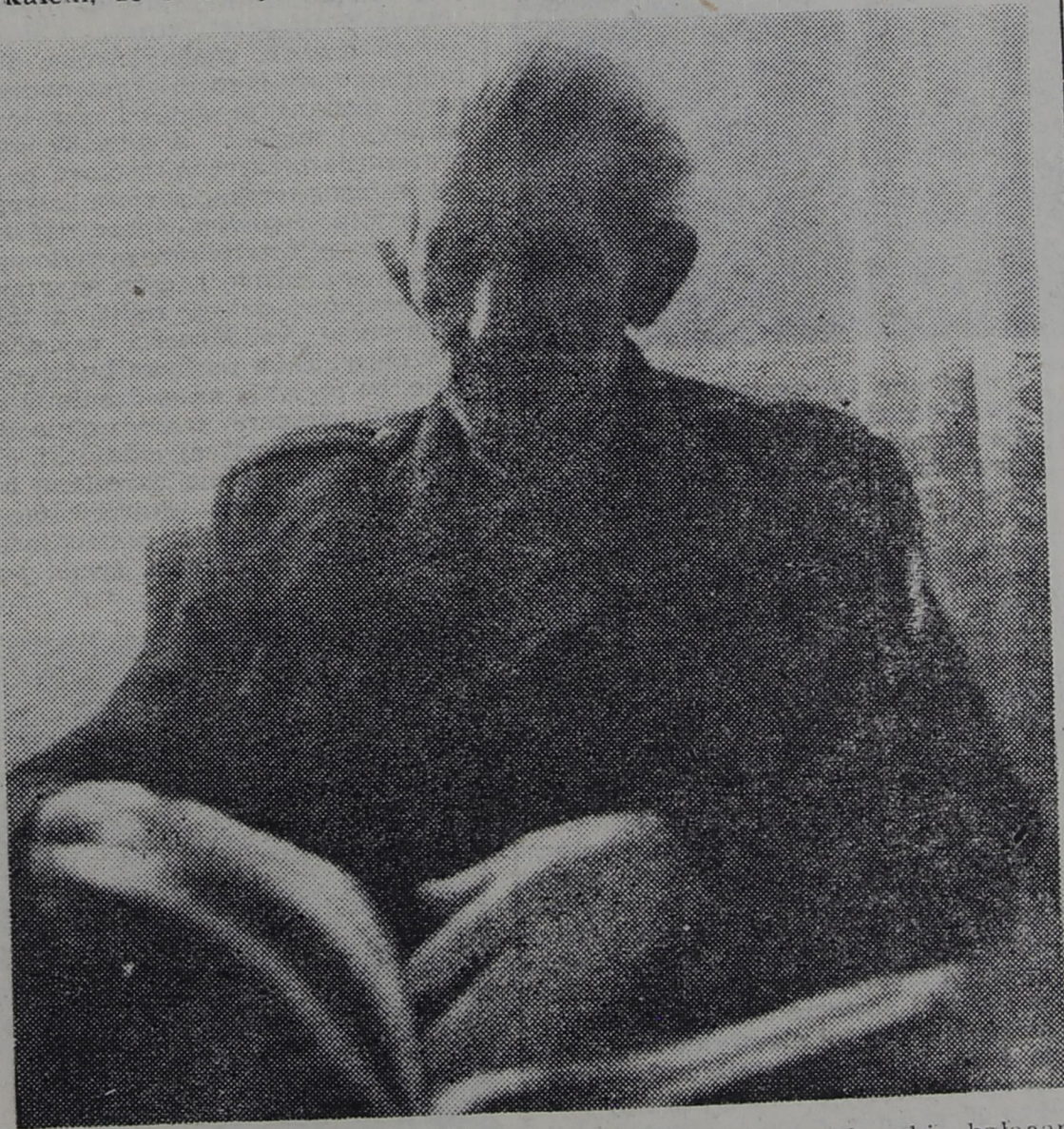
„CKKP przy KC PZPR zawiadamia, że na posiedzeniu w dniu 2.4.54 r. postanowiono zatwierdzić uchwałę WKK o wykluczeniu Was z partii”.

— Złożyłem odwołanie. Napisałem m.in.: „W swej samokrytyce w sprawie słabości charakteru na odcinku wódki, co mi zarzucano, oświadczam, że nalogowcem nie jestem, ani też nie byłem. Tylko nie umiałem wypić piwa lub wódki, tak jak to robią inni, z kim trzeba, gdzie trzeba i ile trzeba. Innych błędów politycznych, gospodarczych i społecznych nie posiadam. Prawdziwym marksistą pozostanę do końca swego życia”.

Po wykluczeniu pracowałem jako torfmistrz oraz jako opiekun społeczny przy Prezydium Rady Narodowej. Partia nie mogła się bez mnie obejść, ciągle się mnie radzili, bo ja miałem zaufanie klasy robotniczej. Po Październiku przyjechał do mnie stary tow. Czesław Matejko. Był w KC i rozmawiał na moje konto. Namawiał mnie: wróć, twoje przestępstwo żadne. Napisz do nich dziesięć słów i przyjmą. Zrobiłem to. Uroczysto wręczyli mi legitymację.

MOJE POTĘPIENIA

W Październiku grajewiacy trochę poszeptali, poszemrali, i na tym się skończyło. Człowiek wtedy nie bardzo się orientował, jak to było naprawdę. W prasie pisali, że to chuligan i złodzieje. W roku 1966 zostałem wybrany na I sekretarza POP. Byłem nim do roku 1968. Studentów potępiłem. Prasa podawała, że dzie-



dbają. Pokończyli dwuletnie szkoły partyjne w Warszawie i stali się dyktatorami. Z ludźmi nie chcieli rozmawiać. Tylko w kółko dziękowali klasie robotniczej i umacniali się. W listopadzie 1953 roku złożyłem rezygnację z funkcji zastępcy przewodniczącego PRN-u.

Szła coraz gorzej. Dostać się do sekretarza już w powiecie było trudno, a w województwie straż stała w drzwiach i nie dopuszczała nikogo. Wysokopartyjni towarzysze bali się ludu.

Dostałem nagane z ostrzeżeniem za krytykowanie partii. Obserwowano każdy mój krok. W lipcu aktyw-

ci wysokopartyjni robili balagan, a ich ojcowie stali się biurokratami.

W grudniu 1970 roku również potępiłem. Potem wyszło, że robotnicy mieli rację. Ale kto to wtedy wiedział? Wydawało się, że Gierek pójdzie dobrą drogą, a on ponosił pożyczek.

W roku 1976 wyczuwało się, że robotnicy mają rację, ale my nic nie wiedzieliśmy! Potępiłem. Czy mogłem zaprotestować? Pan myśli, że KPP-owca do głosu by dopuścił? Zresztą wtedy chorowałem na gruźlicę i nie myślałem o polityce, a tylko o tym, czy będę żył.

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

wśród których wspomina Kafkę, Camus, Joyce'a, Saint-Exupéry'ego i innych. Filozoficzne problemy życia, historii, świata, które rozstrząsali pisarze, nasz nastolatek przeżywa przy ich pomocy, szukając odpowiedzi na dzisiejsze kwestie. Np. w jednej z codziennych notatek pisze: „Z powtórnie czytanych pozycji (naturalnie arcydzieł) jak z każdej sztuki — wychwytyje się zawsze coś nowego, urzekającego. Na przykład dziś w »Ziemii planecie ludzi«, »Królestwo jest w nas«. Czym jest w ogóle to całe moje pisanie? Wynikałoby, że mam jakieś trudności z pożegnaniem dzieciństwa, ale też jakbym godził się z jego utraceniem”.

Cytowany pamiętnikarz trafnie odślonił nie tylko własny dylemat — „trudności z pożegnaniem dzieciństwa”, lecz właściwie problem wszystkich uczestników konkursu, a tym samym pokazał, co powoduje że w tym „pogranicznym okresie” istnieje tak duża potrzeba refleksji nad sensem życia, historii, świata; potrzeba zwierzeń, zrozumienia u innych. Co więcej, nieco niżej określił też, na czym polega istota tego szukania sensu życia pisząc m.in.: „Tak, życie jest mętne, jednak nie wszyscy ludzie są mętami. Ludzie są nieszczęśliwi i dlatego godni współczucia. Rozziew: jak jest, a jak być powinno. Wieczna, otwarta rana istnienia. Bez żarliwości, determinacji — nie ma sposobu na nic. Czas ma się ku przepaści i zatraceniu: praca — spać, praca — spać. Codziennie jest się kimś innym. Rozbudzony z popłuszczonego życia szukam siebie, azylu, szukam drugiego ja przed sobą fizycznym, przyjmującym piłeczkę w wariacie rozdarć, zapatrzenia dookoła, nieświadomej konsumpcji, okrutności istnienia. Mała stabilizacja — trucizna, która niweczy. Tragicznie głupie mass media z oporami, ale jakie skuteczne. Dziwna bojaźń i lęk przed sobą.

A więc szukanie sensu życia, to przede wszystkim szukanie miejsca i drogi w tym życiu dla siebie; szukanie w sobie odwagi, żarliwości i determinacji w wyborze celu, sposobu jego realizacji — godnego i zarazem skutecznego w danych warunkach, w zastanym świecie. Ten problem ożywia pamiętniki nastolatków. I to jest optymistyczne, że taka potrzeba poszukiwań, refleksji, istnieje i została utrwalona. Może dzięki temu być z pożytkiem przekazana innym (np. w planowanej książce, zbiorze najlepszych i najciekawszych prac). Jeśli bowiem prawdą jest, że — jak mówi stare przysłowie — młodość to wiek błędów, dojrzałość — wiek walki, a starość — wiek żalów, to możliwie racjonalna, dająca poczucie sensu życia historii i świata odpowiedź na te wielkie pytania, znaleziona w młodości, jest warunkiem niezbywalnym wejścia jednostki w wiek dojrzały z wolą i umiejętnością, warunkiem wejścia w cień starości walki o sensowne cele, a tym samym bez poczucia straconego życia, zmarnowanych szans, bezsensownego nadciągania śmierci.

Sierpień 1980 zastrzył problem wyboru postawy wobec rozgrywających się w świecie dorosłych wydarzeń, wobec rozlicznych dążeń, postulatów, polemik, rozliczeń i ocen, a tym samym problem wyboru wartości dla siebie, wartości nowych. Pozornie tylko wybór ten ułatwiał, bowiem pokolenie rodziców, nauczycieli, starszego rodzeństwa, samo reformuje gorączkowo istniejący świat idei i rzeczy, przeprowadza ostrą krytykę własnego dzieła. Ułatwienie pozorne o tyle, że nastolatkom zwykle nie wystarczy, bo na reformatorstwo starszych mają oni własne spojrzenie.

Różnorodność postaw nastolatków wobec rozgrywającej się batalii o naprawę Rzeczypospolitej jest ogromna. Na pewno w jakimś stopniu stanowi to odbicie różnorodności postaw starszego pokolenia. Ale nie odbicie proste, naśladowcze tylko. Często się zdarza, że w stosunku do postaw rodziców czy wychowawców

jest ono przekorne, nawet buntownicze.

Maturzysta ze Złotowa, zafascynowany odnową, „Solidarnością”, możliwością reform — realizuje praktycznie swoją postawę w kabarecie szkolnym pisząc i odtwarzając teksty satyryczne, biczujące wszelkie zło, niesprawiedliwość, głupotę. Robił to z kolegami pod mądrym kierunkiem wychowawcy już przed Sierpniem 1980, w programie „Wariaty — czyli dowcip słowny i piaskie aluzje”, nagrodzony na konkursie szkolnych zespołów satyrycznych. Czuje się jak gdyby prekursorem odnowy, krytyki, co wzmacnia niesłuchanie jego identyfikację z protestem robotników i ich walką o rzetelną odnowę życia społecznego. Zachłannie przyswaja sobie nowe symbole i tradycje ruchu, przeżywając np. silnie uroczystość odsłonięcia pomnika ofiar Grudnia 1970 r. (oczywiście — via telewizja), co wyraża w okolicznościowym wierszu „Polegli bez wojny”. Jego bunt jest autentyczny i sympatyczny.



tyczny. Nie jest to bowiem młodzieńcze zrozumiwanie. Przeciwnie — potrafi zdobyć się na dystans wobec siebie, autoironię, nawet w rodzaju wyznania: „Ja chyba nie jestem jeszcze młodzieżą. Ja jestem dzieckiem”. Pamięta też — i potrafi to powiedzieć — o ideach i obowiązkach naczelnych, czego dowodzi np. w wyznaniu: „Najważniejszy jest naród, to wobec niego mam rosnący dług”.

Patriotyzm, bez wielkich słów, ale głęboki i autentyczny, jest ideą dominującą w pamiętnikach nastolatków, niezależnie od stopnia i form ich buntu, krytycyzmu, negacji zastanej rzeczywistości. Co więcej, często w krytycyzmie się wyraża, bo takie są warunki obiektywne dorastania tej generacji. Wielkie nadzieje i obietnice ich wczesnonastoletności pierwszej połowy lat siedemdziesiątych, gdy opuszczali szkołę podstawową i szli do średniej, zawodowej czy do pracy, rozwinęły się jak bańka mydlana w końcu lat siedemdziesiątych, często razem z otrzymaniem dowodu osobistego. I wszystko na to wskazuje, iż muszą się przygotować do myśli, że w najbardziej dynamicznych w ich życiu latach, między dwudziestym i trzydziestym rokiem życia, czyli — historycznie — latami osiemdziesiątych XX wieku, będą mieli bardzo ograniczone możliwości życiowego sukcesu, przy zdwojonym wysiłku i wyrzeczeniach. Taka świadomość wśród nastolatków istnieje.

Jednak nie niepokój o własny dorobek, wygodę i możliwości materialne czy zawodowe zaprzęta głów-

nie umysł autorów prac konkursowych. Pewnie m.in. dlatego, iż wielu z nich jest jeszcze pod troskliwą opieką rodziców i kłopoty materialne nie dały się im jaskrawo we znaki. Najbardziej ich niepokoi niesprawiedliwość społeczna, złe stosunki międzyludzkie, pogłębiające się różnice społeczne, rozdźwięk między teorią a praktyką, między pięknymi założeniami socjalizmu a jego konkretną realizacją przez konkretnych ludzi w konkretnym terenie; perspektywa życia bezideowego, zakłamanego, odhumanizowanego.

Ze wsi do Bielska Podlaskiego chodzi pięć kilometrów do klasy maturalnej 19-letnia autorka dziennika, która z całą prawdą może o sobie powiedzieć: „Ja od 12 roku życia nie mam czasu. Ciągłe pracuję naokoło i boleję nad tym, że doba ma tylko 24 godziny, a i tak stopę życiową mam o wiele niższą niż inni”. Dzieje się tak dlatego, że jej matka zmarła i ojciec z córkami sam prowadzi

sadach moralnych. Autentycznie i uparcie.

Pamiętnikarka spod Bielska Podlaskiego nie pasjonuje się problematyką odnowy posierpniowej, powstaniem „Solidarności”, demaskowaniem niesprawności władzy w latach siedemdziesiątych itp., m.in. dlatego, że te sprawy nie dotarły jeszcze tak ostro do wsi bielskopodlaskiej. Opowiada się jednak zdecydowanie za naprawą Rzeczypospolitej, widzi błędy i przejawy niesprawiedliwości, wyjście z nich upatruje w realizowaniu prawdziwych ideałów i założeń socjalizmu, nie socjalizmu „na niby”. To jest credo jej dziennika. W tym widzi sens swego życia dośrodkowego, pracy i działalności społecznej, obywatelskiej, do których się sposobi.

Podobna jest postawa jej rówieśnika z dalekiego Wrocławia, ze środowiska wielkomiejskiego. Refleksje zawarte w jego pracy silnie są tylko związane z wydarzeniami bieżącymi. I więcej w nich ocen rozgrywających się na fali Sierpnia 1980 r. sporów, strajków, konfrontacji postaw i opinii. Wielkie miasto daje więcej obserwacji i impulsów do takich refleksji. Wrocławski nastolatek jest przekonany, że „Solidarność”, jako potężny związek zawodowy robotników, walczy w całości o słuszną sprawę, dochodzi praw robotników, dotąd nie respektowanych, nawet — gdy trzeba — przez strajki. Aprobuję to. Ale nie zgadza się już tam, gdzie strajki stają się metodą nadużywaną, metodą wymuszania różnych nadmiernych żądań, np. w sprawie wszystkich wolnych sobót. Uważa, że nie można skutecznie walczyć o sprawiedliwość, nie szanując czy zaniedbując własne podstawowe obowiązki z byle okazji, pod wpływem demagogicznych haseł, ambicji poszczególnych działaczy, dbających nie tyle o rolnicze i narodowe interesy, ile walczących o władzę, o panowanie. Przytacza nawet z tej okazji takie powiedzenie: „Kto chce znieść panowanie, sam go pożąda”.

Umiarkowane reformatorystwo nastolatka z Wrocławia przejawia się też w ocenach i charakterystykach własnych kolegów ze szkoły, rówieśników, wśród których wyróżnia trzy grupy: zaangażowanych w reformy, kombinatorów-średniaczków i niezaangażowanych-biernych. W postawie zaangażowanych, do których zalicza siebie, za najistotniejszą cechę uważa patriotyzm, troskę o interes całego narodu, społeczeństwa. I w imię ochrony tego interesu nadrzednego dystansuje się od skrajności wszelkiej maści. A więc w sumie prezentuje klasyczną, typową postawę reformatorską, racjonalistyczną, krytyczną, zarówno wobec państwa, jak i nowych związków zawodowych, szkoły, rodziców i osób starszych, rówieśników, prasy, radia, a także biuletynów „Solidarności” czy postaci Wałęsy. Taka postawa budzi sympatię, bo pozwala na widzenie w nastolatku partnera, samodzielnie myślącej i odczuwającej jednostki, kierującej się wyraźnie określoną hierarchią wartości; dojrzewającego świadomie obywatela, posiadającego sporą wiedzę o świecie, życiu, polityce.



zaniedbane gospodarstwo. A tu chciałoby się poczytać książki, które dla pamiętnikarki są — jak pisze — „prawdziwą matką”. Zaś codzienna droga do szkoły zmusza do myślenia o wielu sprawach, także tych, o których można wyczytać tylko w książkach i porównać z otaczającym życiem. „Ta 10-kilometrowa droga, przemierzana co dzień na piechotę, może z najbardziej bezmyślnego zrobić filozofa” czytamy w jej dzienniku.

Porównania i refleksje pamiętnikarki nie są optymistyczne. Zna dobrze własną wieś i jej mieszkańców: „Nasze wiejskie społeczeństwo mało jest podobne do społeczeństwa socjalistycznego”. Ale też dostrzega bezbarwność i nijakość działalności związku młodzieży w szkole, a mając w pamięci postacie bohaterów wielu książek, które jej niezwykle imponują i na których kształtowała swe wczesne ideały życiowe, jak np. Pawła Korczagin, pisze z gorącością: „[...] gdzie jest nasz współczesny odpowiednik Komsomolu — ZSMP czy partia? No, taki prawdziwy, z bohaterstwem. Już wkrótce będę kompletnie dorosła, a jakoś do tej pory czegoś takiego nie udało mi się obejrzeć z bliska. A chcę. Nawet pragnę. Trzeba poszukać”. W sumie z takich i podobnych refleksji i porównań, obserwacji i faktów codziennych rysuje się obraz współczesnej nastolatki, ciężko pracującej od dzieciństwa, zdobywającej w trudzie wykształcenie, a jednocześnie kształtującej swój charakter i programową postawę życiową na solidnych ideałach społecznych, pięknych za-



podzwonne dla herosów

Charakteryzowany pamiętnikarz pod tym względem wybija się ponad przeciętny poziom i dojrzałość uczestników konkursu, ale nie stanowi wyjątku, a raczej przykład dość typowy. Postawy reformatorskie, wyrażone w nadesłanych pracach, przejawiają w tym konkursie, obok także licznych postaw buntu, sprzeciwu, mniej lub bardziej biernych „obserwatorów z boku”, których „działające się dzieje” właściwie ani ziębią, ani grzeją. Pochłaniają ich natomiast prywatki, kolejne sympatie, nagrania i codzienność lub odświętność życia szkolnego. Stanowią oni jednak niewielki odsetek (ok. 15 proc.). Rzadko spotykane są też postawy wyraźnie programowe, w przypadku których mamy do czynienia z uporządkowanym, wedle określonego systemu wartości, planem życiowym, celem dążeń i zasadami jego realizacji.

Takie proporcje postaw życiowych, ujawnionych w pamiętnikach nastolatów, można interpretować różnie. Pamiętać należy przede wszystkim, że nie można wedle nich sądzić o proporcjach istniejących w środowisku nastolatków polskich anno 1980 czy 1981 w ogóle. W tego rodzaju konkursach, wymagających pewnego wysiłku i zdolności do formułowania własnych refleksji i przeżyć, biorą zwykle udział jednostki aktywniejsze, bardziej skłonne do zastanawiania się nad sobą i zjawiskami życia. Trzeba też wziąć pod uwagę fakt, że 15–19 lat, to okres w życiu, w którym wprowadzanie już powinny krystalizować się trwałe postawy życiowe, dość wyraźnie kierunkowo zarysowane plany i aspiracje zawodowe, obywatelskie, rodzinne, materialne itp., ale są one jeszcze ustabilizowane i podlegają różnym wahaniom, poszukiwaniom, przymiarcom. Tym bardziej obecnie, kiedy pod wpływem różnych czynników (rodzinnych, społecznych, cywilizacyjnych, kulturalnych, obyczajowych) okres dzieciństwa się przedłuża, rzadko nastolatki uzyskują samodzielność materialną i społeczną, najczęściej przebywają jeszcze w szkołach i na uczelniach pod kuratelą bezpośrednio rodziców bądź wychowawców szkolnych, internatowych itp. W takiej sytuacji samo życie — jak to bywało w poprzednich generacjach nastolatków — znacznie częściej — nie zmusza do pośpiesznych rozstrzygnięć o wadze życiowej, a pozostawia dłuższy czas do wyboru, do refleksji, której okazją i formą stał się m.in. konkurs „Kontaktów”. I — jak sądzę — dlatego spotkał się z tak liczny odzewem na przełomie lat 1980/1981.

Niepokoń nie późniejszy start do ostatecznego określenia przez nastolatów współczesnych sensu życia, historii i świata w ich rozumieniu, a więc określenia ich własnego miejsca i roli w życiu historii, świecie, własnym — szeroko rozumianym — światopoglądu, lecz ogromny deficyt wzorów, autorytetów społecznych, idei ucieleśnionych w ludziach, bohaterach literackich czy nawet mitycznych postaciach, które byłyby dobrym budulcem do kształtowania współczesnego nastolatka, który przecież w wieku pełnej dojrzałości

— za niecałe dwa dziesięciolecia — ma witać wiek XXI, a także żyć i pracować jeszcze przez kilka dziesięcioleci nadchodzącego wieku.

Głód wzorów, autorytetów, bohaterów ucieleśniających wielkie idee, żywych, zrozumiałych, podziwianych — bliskich tej generacji nastolatków — jest zastraszający. Jakies elementy wzoru dla niektórych stanowią z rzadka rodzice (lub jedno z rodziców), czasami nauczyciele czy wychowawcy, niekiedy, doraźnie, rówieśnicy-przyjaciele. Prawie zupełnie nie występują w tej roli starsi bracia czy siostry, krewni, czy np. przywódcy z organizacji młodzieżowych (ZHP czy ZSMP), nie mówiąc już o przywódcach społecznych czy politycznych — regionalnych albo ogólnonarodowych. Brakuje również bohaterów literackich czy filmowych z którymi to pokolenie mogłoby się identyfikować, porównywać czy spierać, jak dawniej z bohaterami książek m.in. Żeromskiego, Dąbrowskiej, Kruczkowskiego, Gomułki czy choćby Makuszyńskiego. Pozostają piosenkarze, zespoły wokalne i kabareciarze, z manierycznym „60 minut na godzinę” na czele.

Charakterystyczna pod tym względem była cytowana już tęsknota za żywym wzorem bohaterstwa i ideałości pamiętnikarki spod Bielska Podlaskiego. Podobne tęsknoty wyraża w swym pamiętniku student I roku wyższej uczelni, pochodzący ze wsi spod Przeworska. Wspomina on pobyt na sesji zorganizowanej przez ZHP w Bytomiu w 1980 r., z okazji 110 rocznicy urodzin Lenina, i refleksje, jakie mu nasunęły treści, z którymi tam się zetknął. Píše on: „Na sesji przekonałem się, że ZHP może prowadzić pożyteczną działalność. W czasie nauki w swojej szkole przez cztery lata nie słyszałem o zbiorach, sam nie byłem ani na jednej. Dla większości swoich rówieśników, tegorocznych absolwentów, słowa o zaangażowaniu ideowym młodzieży pozostają zapewne frazezem i będzie to przekonywanie bardzo trudne do skorygowania. Z sesji utkwilo mi w pamięci jedno hasło: „Socializm nauką wiecznie żyje i twórczo”. Dlaczego więc tak mało czyni się dla spopularyzowania jego humanistycznych wartości, uniwersalnych. Jest to przecież ideologia zakładająca wzajemną miłość i braterstwo ludów i narodów. Lenin był głębokim humanistą, prorokiem nowej moralności. Surowość życia i ideałów jego pierwszych naśladowców przypomina postawę pierwszych chrześcijan-męczenników, co ukazują filmy czy głośne książki „Jak hartowała się stal”, „Opowieść o prawdziwym człowieku”. Gotowi byli na śmierć, na heroiczne poświęcenie. Ilu polskich socjalistów oddało życie. Oni wierzyli w świętość swojej sprawy, idei, którą była służba ludzkości. Czy dzisiaj znalazłbym kogoś, kto jest gotów poświęcić życie, wyrzec się osobistych korzyści dla tych ideałów? Czy są ludzie hartowani, ze stali, rewolucjonści, mimo że dzisiaj nie potrzeba nam heroizmu w walce, ale w pracy?”

Te pytania są gorzkimi pytaniami o sens świata dorosłych, o bezsens — z drugiej strony — dopuszczenia do takich głębokich deformacji pięknej idei, jaką jest socjalizm, w okresie właśnie późnego dzieciństwa i wczesnej młodości tej generacji nastolatków. Wielu z nich odczuwa to jako krzywdę, ułomność własnego wejścia w świat dorosłości, do którego się nie spieszą m.in. dlatego, że nie wydaje się wcale pociągający, obiecujący owoce jakichś dokonań, twórczych prób i doświadczeń, a raczej potworną codzienność życia „na niby”: pokretnego, nieautentycznego, niesprawiedliwego, często niemoralnego, niegodnego, pełnego niskiej mimikry i uników, podjazdów i wzajemnego oszustwa.

I to jest największe, choć nie formułowane wprost, pytanie o sens życia, cichy czy buntowniczy żal i wyrzut pod adresem zastanego świata dorosłych, które można wyczytać w pamiętnikach nastolatków z przełomu lat 1980/81.

To już nie „Niebo w płomieniach”, które przeżywa tak lub inaczej każde pokolenie nastolatków na swój sposób, miarę i potrzeby swojej epoki. To czasami „piekło bez płomieni”. I nad tym warto się głęboko zastanowić.

Spółród zaproszonych do redakcji laureatów konkursu „Pamiętnik nastolatka” przybyło sześć osób. Najdalszą drogę pokonała BOGUMIŁA CZYŻYKOWSKA z Przysuchy (Radomskie) i IRENEUSZ WOJCICKI z Wrocławia (jego pamiętnik publikowaliśmy w 7/80 nr „Kontaktów”). Na spotkaniu z członkami jury, a także dyrektorem działu książkowego Młodzieżowej Agencji Wydawniczej, WACŁAWEM ZURKIEM komendantem łomżyńskiej Chorągwi ZHP, ZBIGNIEWEM ŻUKOWSKIM, przewodniczącym i jego zastępcą Zarządu Wojewódzkiego Związku Młodzieży Wiejskiej, JERZYM DOŁĘGOWSKIM i JANEM DOWNAREM oraz zastępcą przewodniczącego Zarządu Wojewódzkiego Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej, ROMANEM SZMYTEM, nasi młodzi goście wysłuchali refleksji doc. dr Bronisława Gołębiowskiego z Uniwersytetu Warszawskiego na temat planu konkursu (publikujemy obok), a następnie wypowiedzieli się sami w następujących kwestiach:

1. o potrzebie tworzenia wzorców,
 2. o współistnieniu pokoleń,
 3. o przystosowaniu,
 4. o ideale partnera,
 5. o organizacjach młodzieżowych
- nie chcieli dyskutować, natomiast w błyskawicznej ankiecie największe szanse wyjścia z marazmu dawali ZHP.

1. Koniec Kordianów

BOGUMIŁA CZYŻYKOWSKA: — Po cóż nam wzorce, skoro jesteśmy my? Ale jeśli już mielibyśmy na kimś się wzorować, nie mogłoby to być człowiek-bohater, lecz człowiek z krwi i kości, zwykły w tym znaczeniu, że jego czyny nie wykraczałyby poza wyobraźnię przeciętnego człowieka. Nie szukałam nigdy takiego wzorca dla siebie, nie czułam potrzeby, ale nie neguję jej w stosunku do moich rówieśników, mniej aktywnych z natury, którzy — być może — muszą równać do kogoś. Nikt jednak nie będzie równał do herosów czy strażników.

IRENEUSZ WOJCICKI: — Oczywiście, w żadnym przypadku nie mógłby to być Kordian, ale i nie Pawła Korczagin, który mnie — na przykład — śmieszy, bo aż nadto dobrze poznałem sytuację polityczną, w jakiej działał. Zatem nie mógłby to być romantyk czy jakiś niewiarygodny, bohaterski przywódca, lecz człowiek, którego osobowość i intelekt predestynowałyby go na duchownego przywódcę pokolenia czy jego części, bo w klasycznych supermenów już nikt nie wierzy. Ponadto nikt nie wierzy w możliwość zaistnienia takiego ideologa i bojownika, który górnymi hasłami i jednym ruchem ręki mógł porwać miliony. Chcę przez to powiedzieć, że idee głoszone przez potencjalnego bohatera naszych czasów nie mogą pochodzić z innego świata niż ten, w którym żyjemy.

2. Odwieczny dylemat

ANNA KRYSZCZUK (Łomżyńskie): — Napisałam w pamiętniku, że nie podoba mi się sposób życia dorosłych, ta ich codzienna krzątanina wokół spraw wyłącznie prozaicznych. Nie chcę tak wegetować, ale nie wiem, czy uda mi się własne życie ułożyć inaczej. Na pewno będę się starała. Dlaczego mam kochać i szanować rodziców, skoro oni nigdy nie zauważali moich problemów, bo nie mieli na to czasu. Musiałam sobie radzić sama, a związki między nami rozluźniały się przez miesiące i lata, aż powstała taka przepaść, że trudno będzie jej brzożę połączyć pomostem.

BOGUMIŁA CZYŻYKOWSKA: — Trzeba było tak ułożyć te stosunki, abyśmy sobie nie wadzili. Już nie jestem na utrzymaniu rodziców (pracuję w laboratorium analitycznym od roku), więc mogę sobą kierować, choć nie do końca dowolnie. Ale kiedyś odnosiłam wrażenie, że mama złośliwie ograniczała moją swobodę, jakby lubiła patrzeć na moje łyzy, chociaż starałam się nie nadużywać jej zaufania, i tylko czasem przegadałam za długo z koleżanką pod domem. Jestem ruchliwa, nie potrafię się zamknąć pomiędzy nauką i domem czy pracą i domem. Musiałam zrobić parę numerów, czasem karkołomnych i krzywdzących moich rodziców, aby teraz uzyskać minimum swobody, i to nie na zasadach obustronnego porozumienia, lecz szantażu w stylu: wiecie, na co

mnie stać. Nie jest możliwe całkowite akceptowanie się pokoleń z wielu względów, m.in. przez różnicę warunków życia, zainteresowań, inny model postępowania, wzajemną nieufność co do jego motywów.

JAN CHOJNOWSKI (Łomżyńskie): — Pochodzę ze wsi. Od dziecka pomagałem rodzicom w gospodarstwie, a często się zdarzało, że moje posłuszeństwo wymuszali metodą siłową. Bywało, że przez ciągłą robotę nie zdążyło się odrobić lekcji albo w ogóle rezygnowało z pójścia do szkoły, bo w domu było coś pilniejszego. W 17 roku życia postanowiłem pójść do pracy w budownictwie. Rodzice źle zniesli moje odejście z gospodarstwa, ale ja przyjąłem taką zasadę: ich wysłuchać, a robić swoje. Nie mam im za złe metod wychowawczych. Uważam, że wyposażyli mnie w wiele dobrych cech, potrzebnych człowiekowi w dzisiejszych czasach.

3. Smutek konformizmu

JOLANTA JANUĆ (Białystok): — Jakże się można przystosować do warunków dyktowanych przez świat dorosłych, który tkwi po brzegi w kłamstwie, obłudzie, nieuczciwości i nienawiści? Oni pierw zniszczyli swoją, a potem naszą chęć robienia czegokolwiek, zabili nasz zapał i dobrą wolę. Niewiele już rzeczom wierzę, ale postaram się przynajmniej zachować godność, czyli w żadnym przypadku nie zamierzam się przystosować.

JAN CHOJNOWSKI: — Pracuję wśród budowlańców. Każdy wie, jakie tam panują obyczaje. A jednak nie uległem im. Zachowuję swoje zasady postępowania. Chociaż mam już zawód — ukończę technikum, bo tak postanowiłem. Po co się przystosowywać? Trzeba żyć zgodnie ze swoim charakterem.

BOGUMIŁA CZYŻYKOWSKA: — Przystosowanie jest zawsze przegrana, frustrującym kompromisem, smutną zgodą na zastaną rzeczywistość, przyjęciem, że naturalne nikczemne postępy ludzkie. Przystosowanie to samookaleczenie się duchowe, to przystanie na małoduszność i tchórzostwo, wciągnięcie się w niektóre żalosne obrzędy społeczne, którym nie ma się odwagi powiedzieć: stop. Nie, to nie dla mnie.

IRENEUSZ WOJCICKI: — Nie widzę żadnego wyjścia poza przystosowanie się do powszechnie obowiązujących reguł gry. „Wychyliłem” się w pamiętniku, poszedłem pod prąd w Łomży, a powtarzam klasę we Wrocławiu. A przecież miałem tylko inne poglądy niż obowiązujące. Strach pomyśleć, co by się stało, gdybym zechciał je ponownie powtórzyć! Rzecz jasna — przystosowanie jest ogromnym kompromisem, ujarzmieniem myśli i woli, ale czy nie mam podstaw do lęku w przypadku kolejnej różnicy zdań z tzw. większością? Nadal prowadzę kabaret, ale moje teksty nie wychodzą poza krąg obyczajowości uczniowskiej. „Za karę” — konsekwencję dublowania klasy — posłano mnie w czasie wakacji do pracy fizycznej. Słowo daję, wole już te nasze szkolne zwyczaje, może mniej atrakcyjne i cwaniackie, ale za to dużo zdrowsze. Zatem nie jestem za przystosowaniem w ogóle, lecz do wybranych środowisk i okoliczności.

4. Wielkie serce

BOGUMIŁA CZYŻYKOWSKA: — Nie wiem, jak powinien wyglądać mój ideał, nie myślałam o tym, nigdy nie wyobrażałam go sobie. Najważniejsze jest uczucie, a to nie zawsze pojawia się wśród ludzi o najbardziej szlachetnych cechach. Jeśli powiem, że powinien być „dobry”, to natychmiast należałoby ustalić, co to pojęcie znaczy. „Dobroć” ma tyle odmian, ile ma ich „prawda”. W dzisiejszych czasach jest taka relatywność pojęć, że nie sposób niczego ustalić obiektywnie. Autentyczne są tylko uczucia, a nie zauroczenia, które rodzą się przy naszym spotkaniu z uniwersalnie-obiegowym ideałem.

IRENEUSZ WOJCICKI: — Musi być ładna. Przecież to się rzuca w oczy i jest pierwszym warunkiem zainteresowania dziewczyną. Potem następują inne, które razem składają się na to, że jest nam razem dobrze.

JAN CHOJNOWSKI: — Nie musi być piękna. Powinna mnie rozumieć i mieć wielkie serce.

Spisala

STEFANIA HENCZELOWA



Fot. GABOR LORINCZY

pokolenie



Kolejki, postanienia, listy, uchwały, rezolucje, już czas najwyższy, dość już, to stanowisko nierealistyczne, kto tu zagraża bytowi, każde działanie, postawa na nie, manipulacja, szybko przychodzić, przywieźli kaszankę, mają przywieźć popularne i klubowe, kolejka już się ustawiła, baśka stoi czwarta, w juniorze były levisy z pewexu po tysiąc siedemset, wszystko w dziesięć minut, stała cała noc, ale coś na te kartki dostała, była trzydziesta, przed nią skończył się schab, kurczaki można na trzeci gatunek, nie mam już wcale pasty do zębów, masz, przeczytaj, trzeba się umieć dogadać, to jawne dążenie do przejęcia władzy, określiliśmy już warunki, na których my nie chcemy władzy, kto dąży do konfrontacji, jurek nie ma butów na zimę, dobry wieczór państwu, w dzisiejszym dzienniku przepraszamy państwa, nadeszło sprostowanie, wydanie numeru nie zostało wstrzymane, zostało opóźnione, co jutro na obiad, może jeszcze uda mi się kupić, czytając ostatni numer, nie pozwolimy elementom antysocjalistycznym, zostały podjęte wszystkie niezbędne środki, może będzie nareszcie trochę zólitęgo sera, żeby ta zima nie była ostra, konfrontacja, kampania propagandowa, nieodpowiedzialne wystąpienia, każde działanie wymierzone, jedyne miejsce to stół rozmów, czy to pasażerskie tak latają, dzieciom całkiem smakowały te płatki, zebranie o piętnastej, grozi to rozlewem krwi, czas, żeby się wyraźnie opowiedzieć, co będzie, jak wrócimy, formalności już mamy załatwione, czekamy jeszcze na przydział, jutro dopiero się dowiemy, poszukajcie mi tego szamponu, dzieci powinny sobie radzić, zostają z babcią, jak wysiadzicie na keleti, to zaraz w drugim okienku, marysia będzie od nich rano dzwoniła, żeby nie zaspały, wiece, oświadczenia, reakcje na uchwałę są — drodzy słuchacze — zróżnicowane, na spotkaniu aktywno podjął, odmienne stanowisko zajęła, państwowy instytut przewiduje na jutro...

Co państwo wieciecie, proszę książeczki walutowe, kontrola graniczna, proszę dokumenty, ta kobieta tak się dziwnie kręciła, jak tylko wsiadła, ją już wcześniej wysadzili, wiozła chyba kawałek lisa, proszę wypełnić, jakie przedmioty wartościowe, czy obrączkę z palca też, passowa kontrola, jeszcze wstać, o-budzą nas nad ranem, tyle tego stania, tak, to już komarno, zaraz za-

kupiłem życie

dunajem, w tych okolicach były oflagi naszych oficerów internowanych, ja u nich pracuję już prawie rok, passkontrol, nasi przed zebrzydowcami wykupywali te mydelka, trzy w opakowaniu, po sto złotych, i oranż w dużych butlach, ja to lubię ich kuchnię, ale niektórzy nie mogą, jeszcze można trochę pospać, na keleti będziemy koło jedenastej, może znowu się spóźni, już buda-peszt, okraża, ale to jeszcze potrwa, nas tu, polaków, pracuje parę tysięcy, przedtem mieliśmy dobrą kwatę, zaraz lecę do stoczni, jedzenie teraz mają droższe, piwo to ja wolę nie w śródmieściu, gdzie tam, różne ceny, gdzie będziemy mieszkali, zaraz trzeba śpieszyć się do ibuszu, ale pogoda, a jak wyjeżdżaliśmy, to w pociągu grzali, na nas czas, do widzenia, może się zobaczymy...

Tylko plan śródmieścia, u gospodyni mamy być o siedemnastej, najpierw metrem do nepstadionu, najtem trolejbusem, dojeżdża prawie do domu, proszę pani, jak się wymawia nazwę tej ulicy, zapamiętasz, chcesz ten paprykarz, piwo czeskie, zweibeer, wiewiel forintem, jestem zmęczony po tej podróży, ale wcale nie chce mi się spać, jeszcze do kasy kolejowej, zaraz będzie otwarta, pochodzimy teraz po starym peszcie, coś na kolację, muszę zobaczyć buty, kup zaraz pastę do zębów i płyn do kąpieli, jakie to czerwone, paprykę w tubce, ogień, muszę się napić mleka, weź po podróży witaminę b, jak stałeś na dworcu w kolejce do wymiany, to już podchodzili, taka starsza handlarka i jakiś chłopak, i zaraz lengyel, polak, a towar masz, muszę się przemyć, pojedziemy już do mieszkania, trochę wcześniej, ale winogrona, dzieciom obiecałam gumę do żucia, zehn billeten, kup jeszcze na autobus, w metrze po jednym forintie do automatu, w dobrym pojedziemy kierunku, w trolejbusie dopytamy, wo ist strasse, pierwszy raz widzę takie winniczki przy domach, to taka dzielnica, dzwonek przy furtce, jo napot, dzień dobry, proszę pokój, łazienka, podobne meble z lat dwudziestych-trzydziestych były kiedyś w mieszkaniu rodziców, u nas za dużo było chyba tych przenosin, szukania nowego, ciągle jakiś lęk czy możemy być pewni swojego miejsca, tutaj widzę wyraźną ciągłość, w takich domkach i ogrodach też, sprechen sie, ja rozumiem polski, mówię niedużo, palinka, kieliszeczek na powi-

tanie, mein väter in zalaber, in esztergom, polnische offizieren im krieg, zawsze dobrze wspominał węgrów, u mnie polacy kilka lat, wybieramy się na popołudnie i wieczór na wędrownkę po mieście, chcemy dzisiaj być w budzie, tak ciepło, właściwie jeszcze lato, przejdziemy się na dunajem, blaha luiza ter, moszkva ter, deli, dobrze się czuję w takich uliczkach, po prostu przetrwało miasto, miasto to żywe ulice, wrócimy przez margut hid, dwunastka, szent istvan, do tego sklepu muszę zajrzeć jutro, nie czuję się spalin, popatrz na wzgórze, tyle światła, pójdziemy bulwarem, do parlamentu, chwilę tu na ławce, tamte ulice wieczorem puste, tak słoczono biura, wieczorna pustka biurokracji, jej martwe okna jak wszędzie, jak inne są takie ulice, wystawy, mieszkania, restauracje, światła w bramach, kafejki, wiesz, do ich kuchni przekonują mnie najbardziej zapachy...

W sklepach więcej słyszę polszczyzny niż węgierskiego, musimy być zaraz na tej górze, spojrzysz stamtąd, że ja się decydowałem na fruwanie w tych krzeselkach, lubię jednak mieć coś pod nogami, jeszcze wyżej krętymi sohodami, ale wiatr, tak niewiele tych pudeł-bloków, jutro na varhegy, ta się nazywa janoshegy, łuki romańskie, vale, i tu gwiazda, jutro śniadanie też zjemy w domu, po zakupy pójdę z panią elwirą, dzisiaj nam sama przyniosła mleko i takiego pysznego rogalą, po drodze jeszcze zajdziemy, jak trafimy, do amfiteatru, rzymski fragment tego miasta, ale najciekawszy jest chyba dziewiętnasty wiek w peszcie, to jest po prostu żywe dzisiaj, nie muzeum dla turystów, w warszawie tylko taki kawałek w alejach... rano jeszcze coś dla dzieci, kilka drobniagów bab-skich, na varhegy szesnastka, turyści niemieccy z przewodnikami, wyfiokowane amerykańki pod matiaszem, takie roześmiane emerytki z ondulacjami lilaróż, koło nemzeti dużo dopiero restaurują, w matyasie templom w pierwszym momencie szokuje to ostre zmieszanie chrześcijaństwa z islamem, kościół, mariatki, był za turków meczetem, tę zawrotną mieszaninę trzymają jakby mauretańskie detale gotyku, turyści rządkiem na baszcie rybacką, do pesztu przez ten łańcuchowy, szechenyi, zmierzcie te mokasyny, wo ist szent istvan basilika, dużo widać różnych mundurowców, milicjanci odziani prawie jak nasi, tu siadziemy, będzie wygodnie, gulasz, zwei, dawno już piliśmy czerwone

do mięsa, wiewiel, potem jeszcze zajdziemy na kawę, tutaj wysiadzimy, ależ to przekupki zawodzą, właściwie śpiewają, kupię tej papryczki, i zólitę, i czerwonej, dwa sznurczki, zwolf, patrz na te wieśniaczki w strojach, pierwszy raz zauważyłam je w metrze, koło dworca, chyba będziemy już wracać, mam ochotę wyciągnąć się w łóżko, zaraz będzie następny trolejbus, wiesz, odpowiada mi ich komunikacja, dzisiaj noc jeszcze cieplejsza, dobry wieczór, jo estet, żaluzja opuszczona, dobrze mi robi kąpiel... musimy wyjeżdżać niedobre, niedobre, was machen, kindern im hause, trzeba z dziećmi, niedługo napiszemy, pojedziemy wieczorem, bardzo pani dziękujemy, dzisiaj od nas lengyelvodka, smak od tej trawki, przyjeździe, przyjeździe, sie und kindern, u mnie mieszkać, będziemy o czwartej, um vier uhr...

Polacy?, co państwo kupili w Budapeszcie, są dolary, dziękuję, passkontrol, do widzenia, koszonom, o które mamy być w Warszawie, poscielimy i pójdziemy zjeść coś ciepłego, w restauracyjnym węgry, chętnie zapalę klubowego... zbudzili nas całkiem grzecznie, koło trzeciej, wysiadzimy na zachodniej, były nowe zeit, prawda, izwiestia, polskiej gazety nie widziałam, ja pytałam o życie z ostatniego czwartku w polskim ośrodku, w poniedziałek, ale jeszcze nie mieli, byliśmy u znajomych, zawieźli nas też do szentendre, ach, nas też gospodyni namawiała: szentendre koniecznie, koniecznie, chcemy następnym razem cały dzień, jak ci się spało, nie przeszkadzało ci kołowanie, po podróży zaraz kąpiel, ciekawe, jak dzieci, dobrze żeśmy odpoczęli od telewizji, od gazet, telewizji nie brakowało mi zupełnie...

Autobus mamy za półtorej godziny, muszę się napić gorącej herbaty, w barze są jeszcze jakieś kanapki, do herbaty łyżeczka cukru, zadzwonię z automatu do domu, kupię życie, co się u nas w tym czasie stało, do czego przyjeżdżamy, popatrz, tu, na pierwszej stronie, po wywiadzie i przemówieniu, rezolucje organizacji, krytyczne uchwały, spojrz: apel trzydziestupięciu... pomagamy się natychmiastowego porzucenia niegodnych naszej kultury obyczajów... idzie o wzajemny szacunek, nade wszystko zaś o szacunek dla prawdy... niezbędny jest dialog w sprawach, które można rozwiązać natychmiast...

STANISŁAW KOTWICA

NIETAKTY

bajki na zawołanie



Rysunek Antoniego Kowalskiego

śnie papierosy, a jeszcze gdzie indziej rzucili mydło, z obiedem w oczach palniemy coś w oderwaniu od kontekstu. A byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy sobie przy tej okazji mogli powiedzieć: „pocałuj mnie w d...”

Ale nie możemy! Bo normalnie, po ludzku, potrzebujemy mieć co jeść, czym się umyć, w co się ubrać. Godzinami wystajecie, wy, gardlujące kobiety z trafiku, w rzadkach za mięsem, nocami chodzicie warować pod sklep z dywanami, dzień w dzień meldujecie w składzie me-

blowym, że jeszcze chce się wam mebli. Nie żal wam tych godzin straconych na drapieżne strzeżenie swojego miejsca w ogonku. Już nie! Staciliśmy poczucie trwania czasu. Jeszcze kilka miesięcy temu wolałbyście coś poczytać, pójść do kina czy uczciwie odsiedzieć w biurze swoje przymusowe godziniki. Teraz perspektywa zdobycia szamponu

rozumiecie, że wszyscy chcą prze-

trwać nie tracąc na poziomie życia. W głębi waszych dusz coraz mniej jest pewników, a więcej rozterki. Straciłście tyle czasu i będziecie tracić go nadal, jeszcze długo.

W głębi waszych dusz coraz mniej jest pewników, a więcej rozterki. Straciłście tyle czasu i będziecie tracić go nadal, jeszcze długo.

— Czy i kiedy będzie wreszcie lepiej? — pytacie same siebie. — Co z tego zostanie; czy ta lekcja życia nie jest czasem przymusową lekcją ogłupiania na wielką narodową skalę? A może wyjdziemy z tego lepsi, żyćliwsi, bo przecież jeszcze czasem pomagamy sobie nawzajem?

A kiedy nie stoicie w rzadkach, nie pracujecie, nie śpicie, nie jecie, to z niepokojem śledzicie bieg wydarzeń w kraju i snujecie prognozy na własny użytek, w których jest optymizm, miejsce na nadzieję i trochę zwątpienia. Tylko myśli o jutrzejszych zakupach czynią w nich nieco chaosu.

A czasem co bardziej refleksyjna z was zastanowi się nad tym, jakie będziecie, gdy czas gospodarczego krachu minie, czy będziecie inne i jak inne? I zapragniecie pomarzyć — jak dobrze byłoby, gdyby nieubłagany czas nie obciążał nas wciąż na nowo, gdybyśmy nie zabierali tego bagażu smutku, balastu naszych życiorysów itd.

Reglamentacji marzeń i pobożnych życzeń chwilowo się nie przewiduje — to pewne!

Ale co będzie, jeśli pozostanie w was ta gorączka? Przyzwyczajenie do pogoni za wszystkim, niezależnie od stanu zaopatrzenia sklepów? Pęd do ścierania się o każdy przedmiot i przyzwyczajenie do klótni kolejkowych. Co będzie, jeśli nic nie zdoła złagodzić nabywanych dziś przyzwyczajęń, brutalnych, rodzących się każdego dnia, nowych obyczajów.

WIESŁAWA T. ŻOCHOWSKA



KOMENTATOR: Dwaj reportery radiowe, jak zwykle, wybrali się w teren, aby na żywo uchwycić choć fragment życia.

REPORTER: Pani jest kierownikiem Spółdzielni Pracy Elementów Krawieckich „Postęp”? Słyszeliśmy, że ma pani jakieś ogromne kłopoty — na czym one polegają?

KIEROWNICZKA: Mam cały ma-
REPORTER: Bo wy robicie guziki, igłami...

REPORTER: Bo wy robicie guziki i igły?

KIEROWNICZKA: Tak. Mamy tego mnóstwo, ja już nawet nie wiem, ile tego leży? Ciągłe jeszcze składowane są, już zakrywamy. Nie mamy na nie zbytu.

REPORTER: A to niby dlaczego?

KIEROWNICZKA: Bo taka jest sytuacja, że w guzikach musimy wybijać dziurki. A do wybijania dziurek maszyna została uszkodzona, po prostu zużyła się. Ona jest z Holandii sprowadzona, ale w tej chwili nie możemy jej sprowadzić.

REPORTER: Myślimy już kombinowali, żeby do tych guzików zrobić takie... uszka, ale też nie udało się, bo do robienia uszek w tej maszynie zepsuło się łożysko, a to, z kolei, sprowadzone jest z Francji, w związku z tym też nie możemy obecnie sprowadzić. I tak to wszystko składa się, i leży.

REPORTER: Macie guziki bez dziurek? A co z igłami?

KIEROWNICZKA: Bez uszek. Masa tego leży, bo nikt nie kupi igły bez uszka!

REPORTER: I co zamierzacie z tym zrobić?

KIEROWNICZKA: Dogadujemy się z innymi zakładami, na przykład takimi, które produkują grzebienie. Mogą przetopić te guziki na grzebienie. Ale oni też twierdzą, że mają kłopoty, bo do wykonania tych grzebieni maszyna jakaś zepsuła się i części brak, bo ona też z drugiego obszaru płatniczego. Nie wiem, co to dalej będzie.

REPORTER: A igły na co przetopić można?

KIEROWNICZKA: To jest dobra stal, proszę pana, można by na szpilki jakieś. Może ktoś od nas to kupi...

REPORTER: Ile tych igieł jest?

KIEROWNICZKA: W tej chwili nie jestem w stanie panu powiedzieć, a produkcja jeszcze idzie!

REPORTER: Widzę, że jeszcze tylko dwa namioty na ten plac wciśnięcie i koniec, więcej się nie zmieści.

KIEROWNICZKA: No, właśnie. Trzymaliśmy je przedtem na strychu, ale nam się strop zaczął walić, więc teraz trzymamy na dworze. Tu też długo nie podoła, bo przecież korozja je zeżre.

REPORTER: Widzę, że sytuacja naprawdę jest bez wyjścia.

KIEROWNICZKA: Z guzikami jest tragiczna sytuacja, natomiast z igłami jest trochę lepsza. Ktoś z naszych pracowników nawiązał jakiś tam kontakt z trzecim obszarem płatniczym. Może właśnie tam, w krajach rozwijających się, uda się trochę ich sprzedać.

REPORTER: Tam będziecie sprzedawać igły bez dziurek?

KIEROWNICZKA: Tak, bo oni mają jakieś inne zastosowanie: do strzały czy do dzid, nie wiem dokładnie.

KOMENTATOR: Oto co znaczy upór połączony z konsekwencją działania! Dwaj reportery radiowe, kierując się wzorcem godnym naśladowania, ruszyli przed siebie dalej.

REPORTER: Który z panów jest tutaj instruktorem domu kultury?

INSTRUKTOR: Tak, od niedawna, co prawda, ale jestem.

REPORTER: Otóż słyszeliśmy, ludzie się skarżyli, żeście rozwiązali bardzo dobry zespół muzyczny i w tej chwili nie ma przy czym zabaw odbywać. Dlaczego?

INSTRUKTOR: Wie pan, kupiliśmy bardzo dobry akordeon włoskiej firmy Paulo Soprani. Mieliśmy dość dużo zapasu powietrza włoskiego do miechów, specjalnie przywieźliśmy, w komplecie z akordeonem, ale wyczerpało się nam to powietrze i teraz strasznie on nam nie stroi.

REPORTER: Nie rozumiem.

INSTRUKTOR: No, po prostu przedtem był dźwięk „c” a teraz, przy tym samym miechowaniu — no, weź, pokaż — niech pan posłucha, co się dzieje (słychać fałszywy dźwięk). Bezcennie nie stroi i nie wiemy, co z tym zrobić.

REPORTER: Kupiliśmy za dewizy akordeon z powietrzem?

INSTRUKTOR: Tak, to był komplet. Włoskie sprężone powietrze kupiliśmy w butlach gazowych: spe-

ejalne powietrze do miechowania. No i używaliśmy ten akordeon około pół roku, potem znowu sprowadziliśmy za dewizy powietrze włoskie i napełniliśmy te butle. Teraz uciegli nam wsad, no i jest kłops. Akordeon jest bezużyteczny! Zamiast „c” daje „cis”.

REPORTER: Nie da się tego prze-

INSTRUKTOR: Próbowaliśmy, ale nie ma takiego specjalisty.

REPORTER: Czy to powód, żeby zespół rozwiązać? Nie można kupić innego akordeonu?

INSTRUKTOR: No, bazowaliśmy na tym akordeonie, całe brzmienie zespołu od niego zależało. A teraz kłops. Musieliśmy rozwiązać zespół.

REPORTER: Macie dwie gitary; one też nie stroją?

INSTRUKTOR: Nie stroją.

REPORTER: Włoskie struny?

INSTRUKTOR: Nie, angielskie były, też za dewizy kupowane.

REPORTER: I co będzie dalej?

INSTRUKTOR: Na razie czekamy. Kolega stara się gdzieś wyjechać. Może w knajpie pogra trochę...

REPORTER: Powietrze chyba niespecjalnie drogie jest?

INSTRUKTOR: We Włoszech nie,

tów czy rzemieślników prywatnych, robiących paski typu R 30.

(Warkot silnika)

REPORTER: Jakoś pan się przy-

blokował tutaj. Od trzeciej godziny już chyba czekamy. Miał pan szybciej wrócić.

SZEF: No, miałem trochę defektów po drodze.

REPORTER: Z Warszawy pan wraca?

SZEF: Tak. Z Centrali Handlu Zagranicznego.

REPORTER: Słyszeliśmy, że ma pan jakieś kłopoty. Pan jest szefem transportu tutaj, tak? Tylko ta jedna nyska czynna?

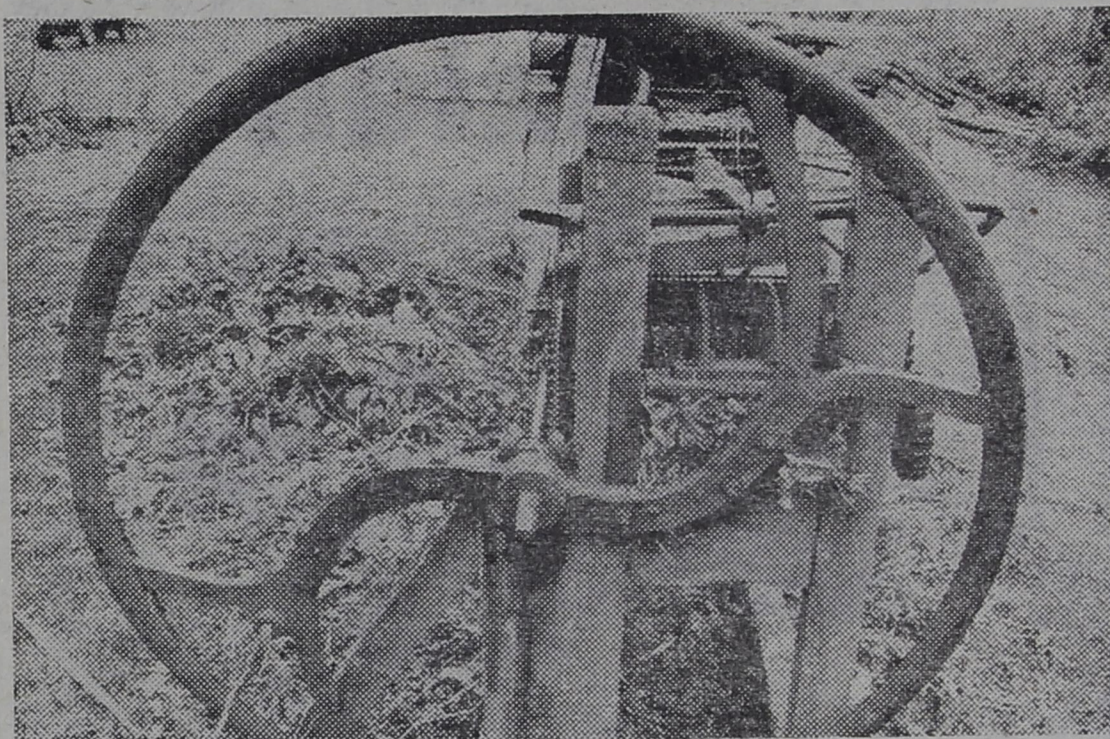
SZEF: Jedyna do tej pory, bo...

REPORTER: A te wszystkie na placu, sześćdziesiąt parę wozów? I cztery dźwigi?

SZEF: Baza stoi ze względu na brak wentyli. Dłuki mamy, opony mamy, wszystko eleganckie, i to z importu, a wentyli nie mamy. Jeździłem w tej sprawie do Warszawy.

Obiecują mi przysłać na dniach, bo prawdopodobnie poszedł teleks do Portugalii czy gdzieś, i mnie tutaj mają dać jeden karton.

kapewu?



ale u nas to kupa forszy!

REPORTER: Ile taka butla kosztuje w przeliczeniu z lirów na dolary, a z dolarów na złotówki?

INSTRUKTOR: Nie wiem, może w rublach bym podał? Wydaje mi się, że z pięćset chyba.

REPORTER: Może pan zagra jakąś melodyjkę.

INSTRUKTOR: Stasiek, może ty zagraż?

(Stasiek gra, potwornie fałszując, jedną ze znanych melodii neapolitańskich)

REPORTER: Podobają mi się ten wyrób przyznam szczerze; jest ładny, dosyć zgrabny, ma mordkę uśmiechniętą, lewą łapkę trochę krótszą chyba, prawą dłuższą.

DYREKTOR: To są odrzuty.

REDAKTOR: Ekspertowy miś odrzutowy! Podobają mi się! Trochę cena mi się nie podoba: za takiego misia 275 złotych?

DYREKTOR: To ustalała Państwowa Komisja Cen. My już tych misiów, niestety, nie produkujemy.

Specjalizowaliśmy się do tej pory w produkcji właśnie tych misi. W tej chwili załoga jest na urlopie wypoczynkowym, a głównym powodem braku produkcji są trudności wynikające z braku wsadu dewizowego, to jest — trocin, które importowane są z Finlandii.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Nie możemy polskich trocin brać? Przecież w okolicy jest kilka tartaków!

DYREKTOR: Polskie trociny nie nadają się do produkcji. Teraz, w dobie kryzysu, próbowaliśmy je wykorzystywać, ale niestety: maszyny, które też mamy importowane ze Stanów Zjednoczonych, tych trocin nie przyjmują, zatykają się. Można by nasze trociny również uszlachetniać, czyli zmiekczać, i w tej chwili Biuro Konstrukcyjne pracuje nad tym. To nasza placówka naukowo-badawcza, przypuszczam, że za jakiś czas, przynajmniej, będziemy mieli trociny, które będą nadawały się do produkcji.

REPORTER: Portugalskie wentyli-ki?

SZEF: Portugalskie, proszę pana, w Polsce nie można dostać krajowych. To, proszę pana, taki kawaleczek gumki, kawaleczek metalu i sprężynka. A ta nysa chodzi, bo ja miałem z zapasów prywatnych, od kumpla dostałem.

REPORTER: Do tych dźwigów też pan nie ma wentylów?

SZEF: Nie ma. Widzi pan, z pięć stayerów stoi, przecież to jest, proszę pana, drogi sprzęt. Dźwigi też chyba ze czterech stoją, kopaczki. Cały transport leży.

REPORTER: Akumulatory pan ma?

SZEF: Mam wszystko, eleganckie akumulatory, proszę pana, luksus. Czeskie teraz dostałem.

REPORTER: Z czym ma pan jeszcze kłopoty?

SZEF: Z talkiem trudności do opan! Sprowadzamy go z Holandii czy z Argentyny. W Polsce ze świecą talku pan nie znajdzie. Jeździłem po aptekach, bo kiedyś w aptece można było dostać, teraz i tam nie ma.

REPORTER: Co pan ma tutaj z pierwszego obszaru płatniczego?

SZEF: Z pierwszego obszaru płatniczego to ja wiem — nie obrażając — stróża i sprzątaczkę. Nic więcej.

(Ktoś gra na skrzypcach serenadę okrutnie fałszując)

REPORTER: Jak się tutaj dojeżdża do tej gminy, to taki nieprzyjemny fetorek. Pan nie czuje tego?

TRAKTORZYSTA: (niewyraźnie): Ja czuję, naprawdę, panie reza-

grze... panie redaktorze, cały czas

REPORTER: Pan jest tutaj na etacie traktorzysty szambowego?

TRAKTORZYSTA: Oczywiście, czuję.

szambo...nurek.

REPORTER: Szambonurek, tak mówią? Do obowiązków służbowych pana należy wywożenie tą beka... A dlaczego pan tego nie robi?

TRAKTORZYSTA: No bo, wie pan, ja mam te maski, ale ta maska... ten pochłaniacz jest zepsuty. Francuski. Patrz pan, taka malutka część, a zepsuł się oddech wydechowy.

REPORTER: Oddech wydechowy, czyli ta gaza? Nie można jej polską zastąpić?

TRAKTORZYSTA: Można, gdyby była! No i gwint nie pasuje, nie da

się tego filtra przykręcić.

REPORTER: Bo pewnie gwint jest calowy, nie centymetrowy! A nie można nagwintować gdzieś w warsztacie?

TRAKTORZYSTA: Bhp nie pozwala.

REPORTER: A ludzie mówią, że pan, zamiast pracować...

TRAKTORZYSTA: A skąd! Gdzie ja teraz wódkę kupię? A w tym smrodzie nie będę pracować. Daję wiltr...

REPORTER: Wsad drugoobszaro-

wy?

TRAKTORZYSTA: Tak, oczywiście, będę pracował, a nie — szambo przeleje się.

KOMENTATOR: Wybiła północ na miejskim zegarze. Pogasyły wszystkie światła! Z wyjątkiem tych w gabinecie.

(Dzwonek telefonu)

PEŁNOMOCNIK: Halo! Manchester! No, City! Okej, jes! Dżordz, gud baj, lan moment, lan moment. Ha! du ju du, Dżon. Jes. Aj hew, aj hew no many. Dżordz! Woda, nie, woda nie! Aj hew no many woda! Nie woda! Ju kapewu? Nie forszein? Dżordz, aj hew no many, Dżordz! No water! Destilowana! Many! Many niet, many nie ma! Pieniędzy nie ma! Dżordz! Gud baj, da, da, o rewuar, o rewuar! (szczęk odkładanej słuchawki) A niech to krew zaleje z tymi telefonami!

REPORTER: Jakież ciężkie zamówienie? Coś pan zamawiał?

PEŁNOMOCNIK: Odmawiałem! Wodę, po prostu wodę destylowaną do akumulatorów. To jest druga strefa, drugi obszar płatniczy i musiałem odmówić, bo nie mamy środków.

REPORTER: Na drzwiach pańskiego gabinetu wisi tabliczka, że jest pan pełnomocnikiem do spraw reformy w zakładzie odmawiania.

PEŁNOMOCNIK: Tak, jest to komórka powołana przez naczelnika Urzędu Miasta i Gminy. Wydawałoby się, że jest to tylko gmina, ale mamy dużo zakładów, a nie mamy dewiz i musimy wszystko odmawiać.

REPORTER: I właśnie pan odmówił? Jakiej firmie?

PEŁNOMOCNIK: Łork Spejszen Kampany.

REPORTER: Ale pana angielski taki jakiś skromny?

PEŁNOMOCNIK: Ja wybieram, zdania układam sobie i mówię, załóżmy: „Wody destylowanej nie będziemy brać” czyli „No woda destylejszyn”.

REPORTER: Dużo ma pan takich rozmów?

PEŁNOMOCNIK: Bardzo dużo. Zaraz wezmę zeszyt dokumentacyjny. O: Hanower, RFN, port. Muszę tam odmówić klej symbol RH-7/16, to jest klej do sznurka żniwnego do snopowiązałki. Potem mam Saragossę w Andaluzji, prowincji Hiszpanii. Korki do rozpylacza przeciwstonkowego.

REPORTER: Nie bardzo rozumiem.

PEŁNOMOCNIK: W rozpylaczach do oprysków przeciw stoncy są takie korki, a w każdym chyba siedemnaście skończonych otworów. Te korki właśnie sprowadzaliśmy z Saragossy. O, jeszcze mam Tajoszi, Japonia. Łącząc centrala Nagasaki. To są końcówki metalowe WZ9/11-174 do sznurowadeł męskich.

REPORTER: Po angielsku będzie pan z nimi rozmawiał?

PEŁNOMOCNIK: Nie. U nas w miasteczku jest człowiek, który często pływając do Japonii, i on co nieco po japońsku umie. Ja chcę od Mała sztuka towar zamówić, ale odpowiednio odmówić!

REPORTER: Skąd pan pieniądze bierze na takie drogie rozmowy?

PEŁNOMOCNIK: Wojewoda mi zabezpieczył, to znaczy — gminie i tutejszym zakładom pracy. Po prostu nowy fundusz telefonizacyjny: odmawiać. Teraz czekam na Franskorzystamy z oferty w drugim półroczu. Polecamy się na przyszłość. Ale jak ja rozmawiałem z nim, to po prostu zaniemówił i położył słuchawkę. Na pewno nie był przygotowany, że ktoś będzie do niego mówił po japońsku. Proszę panów, trzeba firmę szanować. Jeśli my językiem władamy, to chociaż odmawiamy, nie lekceważymy. mówię ten towar, to tekst brzmi mniej więcej tak: „Naka putie leja tinda kiwaszi lan tu di. Nagosko no szinogo, no mon.” Dziękujemy, nie kfurt. O, już łącz!

ANDRZEJ BARTOSZ

WIESŁAW JANICKI

Fot. GABOR LORINCZY

obcy zaje



**Wrzesień 1978 r.**

Mając siedemnaście lat i kilka miesięcy podejmuję pracę na budowie w Łomży Jednocześnie zostaję przyjęty do trzyletniego Technikum Budowlanego dla „pracujących”. Nie pracuję w swoim zawodzie wyuczonego, lecz na stanowisku robotnika niewykwalifikowanego, jako pomocnik murarski. Nie mając żadnego rozeznania w obyczajach na budowie — podpadam ludziom w swojej brygadzie i kierownictwie. Umiem dobrze robić zaprawę i układać cegły do murowania. Nie mogę przyzwyczaić się do zajęć w szkole po południu.

Październik 1978 r.

Nauka w szkole zaczyna mnie interesować. Każdy następny dzień w pracy staje się nieznośny. Robimy wykopy pod ławy w rozrobionej wodą glinie. Ubrania ochronne i gumaki stają się ciężkie jak ołów. Zaczynam pracować na czas, często spoglądam na zegarek. Niecierpliwie się, kiedy skończy się ta codzienna babranina w półciężkim gruncie. Pójście do szkoły staje się dla mnie odpoczynkiem po pracy. Często wracam kompletnie zmęczony ze szkoły. Zarobki są niskie, ale na wyżywienie wystarczą. Żyję tylko cichą nadzieją w sercu, że zaliczę ten rok w szkole. Mieszkam na ulicy Woźniowskiej, z której widać Narew i piękno jej doliny. Zaczynam żyć od soboty do soboty, a każdy dzień w tygodniu staje się do siebie podobny.

Listopad 1978 r.

Poprawiam swoją reputację u kierownictwa i w brygadzie. Zle wykonana zaprawa przez moją brygadę zmuszony jestem wylewać z betoniarki razem z wodą. Zbyt niskie efekty pracy stają się przyczyną rozpadu brygady. Zostaję przydzielony do innego zespołu murarskiego. Staram się, jak mogę. Otrzymuję teraz 2500 złotych, ale pozostali o dużo więcej ode mnie. Praca ze starszymi fachowcami idzie mi lepiej. Odbijają się zebrania, w których jest mowa, że budowa ma oszczędności i duże przeroby. Mam swoje zdanie co do źródeł tych oszczędności, jedynej budowy w całym przedsiębiorstwie. Kompletny brak dyscypliny i rozluźnienie w brygadzie. Tracę zapal do pracy. Pierwszy smak wypitego alkoholu na budowie i — aby do trzeciej. Mieszkam z dwoma kolegami. Chodzenie we trzech do szkoły staje się dla mnie przyjemniejsze. Nadal nie znajduję jednak w nich przyjaciół.

Grudzień 1978 r.

Zima. Zaczyna się najgorszy dla nas okres. Pracuję wraz z innymi „pod gołym niebem”. Cieszą mnie jedynie zbliżające się święta. Wreszcie nadchodzi upragnione Boże Narodzenie, potem Nowy Rok. Nigdy ich nie zapomnę: przymusowe siedzenie na Sylwka w chałupie. Cała wieś, w której mieszkam, odcięta od reszty świata nieprzebytymi zaspami śniegu. Nareszcie piękna, surowa i prawdziwa zima. Kilkakrotnie przedzieram się przez zasy na „chlupa” do oddalonego o osiem kilometrów przystanku. W pracy kilkakrotnie odsienianie budowy i chodników. Jestem zadowolony z przedłużającej się przerwy w szkole. Mam więcej czasu na zajęcia ze swoimi osobistymi sprawami.

Styczeń 1979 r.

Zaliczam pierwszy semestr w szkole i otrzymuję indeks ucznia. Podczas niskich temperatur przeżywałem ciężkie dni w pracy. Przyzwyczajam się do wieczornych zajęć w szkole. Staram się dobrze wystartować do następnego semestru. W takim nastawieniu trwam przez resztę dni.

Luty 1979 r.

Drobne niepowodzenia stają się przyczyną narastania niepokoju i niepewności siebie. Postanawiam zacząć się tylko szkołą. Nie mogę dojechać do rodzinnej wsi z powodu nieprzejezdnych dróg. Koledzy przekształcają nasz pokój w knajpę. Nie mogę znaleźć innego pokoju. Nie chce mi się chodzić do szkoły.

Marzec 1979 r.

Zima nadal daje nam się we znaki na budowie. Często się przeziębiam, a pod nosem zawsze mam mokro. Do szkoły chodzę z przyzwyczajenia. Pół brygady idzie na chorobowe. Na wypłatę dostaję tylko 1800 złotych. Zarobki nie są dla mnie ważniejsze od szkoły. Zabieram się porządnie za naukę. Kilka osób z klasy z niej rezygnuje.

Kwiecień 1979 r.

Wreszcie zima powoli słabnie. Dni stają się coraz cieplejsze. Wszędzie pełno błota i wody po śniegu. W szkole wszystko w porządku, oprócz matmy. Praca staje się lżejsza. Woda w Narwi i innych rzekach województwa występuje z brzegów, przerywa drogi. Koledzy nie mogą jechać do Zbójnej z powodu wielkiej powodzi za Nowogrodem. Praca rozpoczyna się na dobre, mury rosną jak grzyby po deszczu. Kończę 18 lat 13 kwietnia.

Maj 1979 r.

Pracujemy na akord. Z zarobkami trochę się poprawiło, mam ponad 3000 złotych. Nowy brygadziśta i my pracujemy rzetelnie. Z niecierpliwością czekam na dowód osobisty. Zbliża się koniec roku szkolnego. Czuję się wspaniale, wiem, że zaliczę ten rok na czysto. Mury łączników KW PZPR w Łomży prawie są już gotowe. Często rozbijamy się do koszu. Zaprawę podaje się na przerzuty ręczne. Transporty kratówki po rozładunku są w takim stanie, że nie trzeba używać młotków do cięcia cegieł.

dobrze różne rodzaje prac murarskich. Dużo nauczyłem się od brygadziści. Budynki główne i łączniki są już w stanie surowym. Kończymy zalewanie szlicht na dachu. Pracownicy nie są zadowoleni z wypłaty. Jedna trzecia załogi zwalnia się z pracy. Bywam na każdej zabawie w M. Poznaje Hanię bliżej. Jest inna od wszystkich „innych”. Zauważam, że moje towarzystwo odpowiada jej. Spacerujemy w czasie przerw w zabawie należą do najwspanialszych moich przeżyć.

Październik 1979 r.

Czuję, że coś zaczyna mnie gnębić. Nie bardzo wierzę, że znalazłem swoją dziewczynę. Obawiam się, że mogę zostać na lodzie. Odkrywam w niej prostotę i wielkie serce. Poniedziałki stają się dla mnie najtrudniejszym dniem tygodnia. Na pół śpiący przyjeżdżam z zabawy. Brygadziśta leczy się już drugi dzień alkoholem; mówi, że „od czego się zachorowało, tym trzeba się leczyć”. W brygadzie jest dobry nastrój i robota idzie nam nieźle. Kończymy prace w budynku Komitetu. Kierownik daje nam premie i zarobek

kana się z moją dziewczyną. Rzekiwiście minęły cudownie. Czuję wewnętrzny spokój i drzewa, choć pokryte szronem, wydają mi się piękne.

1 styczeń 1980 r.

Jestem wściekły. Drugi Sylwester do kitu, przesiedziany w domu przy telewizorze. Umówiony kolega z samochodem nie przyjechał. Dochodzę do wniosku, że nikomu nie można ufać. Zbliża się trzeci semestr. W szkole urwanie głowy ze względu na zaliczenia. Nie jestem pewny, czy zaliczę matmę, bo stopnie mam słabe. Na budownictwie ogólnym przeglądaję dziennik i upewniam się ostatecznie. Trójka z matwy uszczęśliwia mnie.

Luty 1980 r.

Na „półmetek” w tej szkole zaprasza mnie koleżanka z klasy dziennej. Staję się weselszy, do tychczasowy niepokój gdzieś przyskaka. Okazuje się, że skrył się na krótko. Staram się nie myśleć o końcu roku szkolnego. Dochodzę jednak do wniosku, że nie można być pewnym siebie do końca.

Marzec 1980 r.

W brygadzie panuje niezadowolenie z wypłat. Brygada znów rozpada się z powodu rezygnacji brygadziści i odejścia trzech ludzi. Robię najtrudniejszą robotę w piwnicy bloku: tynkuję sufity i ściany w hydrowężach na supremie.

Kwiecień 1980 r.

Kończę 19 lat. Z Hanią koresponduję. Zabawy są jedynym miejscem naszych spotkań. Nie ma dla nas wolnego czasu. Tynkowanie ręczne na supremie idzie nam jak „krew z nosa”. W szkole leci średnio. Staram się jak najmniejszym nakładem skończyć drugą klasę. Są dni, że nie chce się nawet palcem „margnąć”. Sufity ciągle nie chcą schnąć.

Maj 1980 r.

Zakończyliśmy tynki na supremie. Cięższego tynkowania jeszcze nie spotkałem. Zarabiam ponad 3500 złotych. Zaczynam stawiać ścianki działowe w piwnicy. Mój pomocnik nie chce robić. Dostaję ochrzan od kierownika za efekty pracy, nie otrzymuję premii. Zbliża się koniec roku i zaległości w nauce spietrzają się. Zaliczam zagrożone przedmioty i staję się spokojniejszy o wynik, prawie dwuletniej nauki.

Czerwiec 1980 r.

Stało się to czego się najbardziej obawiałem: konflikt z moją dziewczyną. Jest przekonana, że już mnie nie obchodzi. Uwierzyła słowom koleżanki, że chodzę z inną dziewczyną. Jestem w głupiej sytuacji. Tracę dawną wesołość. Przekonuję się, że nie wolno igrać z cudzym zaufaniem. Wreszcie udaje mi się ją przekonać. Wraca wiara i porozumienie. Zaliczam czwarty semestr. Ogarnia mnie optymizm. Pierwszy raz obchodzę imieniny w pracy. Dostaję list od Hani. Czytam go i widzę, jak wali się w gruzy nasza wspólna budowa.

Lipiec 1980 r.

Ogarnia mnie melancholia. Nie mogę zatrzeć jej twarzy w moich oczach. Nie poznaję samego siebie. Nie wiem, co z sobą zrobić. Wyżalam się sam przed sobą:

Ach, jak szybko mijają na tej ziemi, niespostrzeżenie nasze chwile miłe. Zrodzone wiosną, giną w jesieni, i wszystko uważamy za niebyłe.

Sierpień 1980 r.

Ostatnie próby rozmowy z Hanią pogarszają całą sprawę. Wiem teraz, że tracę dziewczynę, którą jednak kochałem. Zaczynam inaczej myśleć. Długo nie mogę się otrząsnąć z tej porażki. W pracy na budowie nie widzę żadnej przyszłości.

Wrzesień 1980 r.

Zaczynam ostatni rok pracy na naszej budowie. Wobec nauki jestem obojętny; wszystko mi jedno, co będzie. Nie myślę o skończeniu tej szkoły. Zaczynam interesować się wydarzeniami na Wybrzeżu. Przy końcu września i na naszej budowie zaczyna się strajk. Wystawione postulaty są według mnie słuszne i nie cierpiące zwłoki. Żądania o zmianę kierownika nie spełniają się. Nie bardzo jednak wierzę w odnowę dusz ludzkich. Poza pracą i szkołą nie ma już nic ważniejszego dla mnie. Wiem, że muszę obudzić się z tego marazmu sam i zacząć od nowa.

JANEK

(nazwisko i adres znane redakcji)
Fot. GABOR LÖRINCZY**co dzień****od nowa****Czerwiec 1979 r.**

Kończę pierwszy i — jak mówią starsi koledzy — najtrudniejszy rok swojej edukacji w szkole. Rozpoczynają się wakacje. Po pracy nudzi mi się. Chodzenie do kina zbrydło mi. Co soboty jeżdżę do rodziców. Pomagam w gospodarstwie. Na całe niedziele wyprawiam się na ryby. Po południu zalewamy z brygadziśtą posadzkę na prywatnej budowie.

Lipiec 1979 r.

W poniedziałki rano nie mogę na czas dojechać do domu do pracy. Często nie kursuje ranny autobus do Łomży. Wreszcie dostaję urlop. Woda w Narwi jest coraz brudniejsza. Koszenie trawy z ojcem mocno daje mi się we znaki. Nie mogę doczekać się końca urlopu.

Sierpień 1979 r.

Zniwa w tym roku są łatwiejsze i lżejsze. Wreszcie koniec urlopu. Robimy ścianki działowe w głównym budynku. Zbliża się koniec wakacji. W niedzielę jadę na zabawę do M. Poznaje dziewczynę. Bardzo mi się podoba. Obraz jej nie chce usunąć się z moich myśli.

Wrzesień 1979 r.

Moi współmieszkańcy rezygnują ze szkoły, więc chodzę sam. Druga klasa składa się z dwu poprzednich pierwszych. Zamierzam zabrać się za naukę, aby nie odpaść po kolejnej „czystce” w klasie. Poznaje dość

wychodzi nie najgorszy. Brygada znów się zmienia, zostajemy tylko obaj z brygadziśtą. Przystaję wreszcie robić zaprawę, biorę się za murowanie razem z nim. Wolę być murarzem niż gwintować rury.

Listopad 1979 r.

Czuję się potrzebny na budowie i zaczynam wierzyć w siebie. Znów dostaję z matmy balona. Postanawiam w duszy rzetelnie wziąć się za matmę, ale nie słucham głosu rozsądku. Myśl, że Hania jest w domu nie daje mi spokoju. Chwila jazdy rowerem i już jestem z nią. W pracy przenosimy się na przeciwieckie do budynku mieszkalnego. Skuwanie żle wykonanych złączy wydłuża czas wykonywania roboty. Nasze klótnie z kierownikiem żle wpływają na pracę. Wreszcie skończyliśmy przeciwieckie i kładziemy lastriko na klatkach schodowych.

Grudzień 1979 r.

Zaczęłam się najgorszy okres w roku dla budownictwa. Lastriko noszę z pomocnikiem wiadrami na czwarte piętro. Walczymy z zimnem. Moje filce nie nadają się do użytku z powodu dziur. Zima staje się ostrą. Często grzejem wodę do zaprawy w beczkach metalowych. Zupę jem w pomieszczeniach mieszkalnych budynku. Przywożone są nyska z przedsiębiorstwa. Cieszę się, że święta będą okazją do spot-



— Rozległy się strzały. Kaliwoda, trafiony, brocząc krwią wskoczył do bramy. Tam upadł. My uciekaliśmy do mieszkań, kryjąc się przed Niemcami. Ci zatrzymali się na krótko przy rannym, potem oddalili ulicą Sienkiewicza. W tym czasie Kaliwoda konał. Wezwano lekarza POW, doktora Mieczysława Czarneckiego. Udzielił mu pierwszej pomocy, ale rana była śmiertelna. Około godziny 18.00 w bramie budynku Siedziwskiego Kaliwoda umarł — odtwierżający po 63 latach te tragiczne wydarzenie druh, major rezerwy, Erwin Dąbrowski z Łomży, był w czasie tej akcji jego zastępcą.

Leon Kaliwoda urodził się w roku 1896 w Warszawie. Tam ukończył szkołę podstawową i średnią oraz szkołę oficerską Polskiej Organizacji Wojskowej, tajnego związku militarnego, skierowanego przeciwko zabiorcom, który powstał w roku 1914 z inicjatywy Józefa Piłsudskiego.

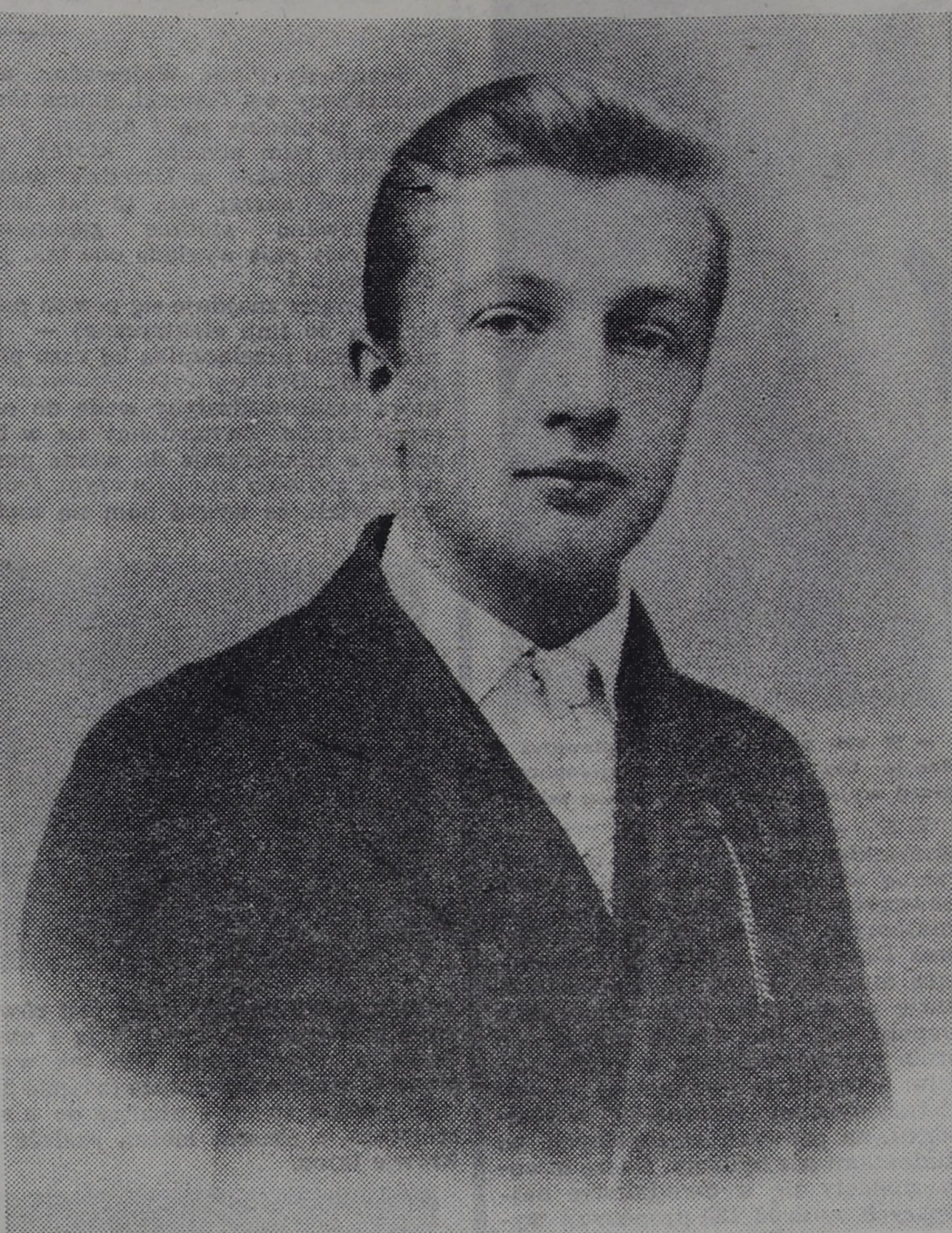
— W Łomży i w okolicach szeroka siatka POW powstała w roku 1915, a może wcześniej — pisała w swoich wspomnieniach Maria Kleindienstowa, żona Teodora, twórcy łomżyńskiego harcerstwa. — Włączyły się do niej obie drużyny harcerskie: męska i żeńska. Z Łomży jeździli na kurs instruktorski Polskiej Organizacji Strzeleckiej — matki POW — tu tejsi harcerze: Stanisław Dębowski („Młot”), Szmidt („Sep”), Janek Grzymkowski („Kłosa”). Była pewna symbioza POW i harcerstwa, a na pewno ścisła współpraca.

Na rok przed odzyskaniem niepodległości harcerska chęć wstępowania do POW-u przybrała rozmiary powszechne. Zaprzysiężono jednak tylko kilku starszych, reszta była jakby oddziałem pomocniczym, wykonującym nieformalnie zadania. Dotyczyły one przede wszystkim służb łączności i patrolowania. Na skutek aresztowania miejscowego komendanta X Okręgu POW, majora Jana Kraszewskiego, Komenda Główna organizacji delegowała do Łomży dla pełnienia tych obowiązków Leona Kaliwodę (pseudonim peowiacki — „Luczyński”). Zamieszkał on przy ulicy Wiejskiej 6, w domu matki dotychczasowego komendanta, Bronisławy Kraszewskiej, zwanej przez członków organizacji „Babcia POW”, dla atmosfery, jaką stwarzała związkowej działalności swoim poświęceniem i hartem ducha.

Ponieważ Kaliwoda był harcerzem, objął również prowadzenie drużyny harcerzy pozaszkolnych. Zajęcia odbywały się na wycieczkach oraz w ogrodzie Jakubowskich przy ul. Polowej.

„Przyjęliśmy go chętnie — wspominał w łomżyńskim miesięczniku „Czuwaj” Stanisław Dębowski. — Ale na razie trudno nam było się rozumieć. On nie znał innych harcerzy jak warszawskich i jedynie ich sposób prowadzenia pracy uznawał za słuszny. Był zwolennikiem formalności i rygoru. Prawo chciał do głów i dusz wtłaczać przemocą i rozkazem. Nasze stosunki nazywał sielanką. Ale w moich chłopakach tyle było zapалу i wiary, tyle pragnienia, aby życie swe rozszerzyć i pogłębić, że musieli ich wreszcie odczuć, zrozumieć i ukochać. Powoli stawał się nasz. A gdy po paru miesiącach, będąc w Warszawie, wstąpił do Naczelnej Komendy — to wyciągnął rękę na powitanie do jakiejś warszawskiej szarży ze słowami „Czuwaj”. A szarża zdziwiona, z oburzeniem odrzekła: „zamiast wyciągać rękę, moglibyście zasalutować”. I jego, dawnego służbistę, to okropnie uraziło. Bo on już szarżę inaczej rozumiał i traktował. Po naszym — po przyjacielsku”.

W wierszu „Światłanych słów kilka Leona Kaliwody pamięci”, opublikowanym na dziesięciolecie odzyskania niepodległości anonimowy autor napisał: „Wytrwać — było Twoim hasłem. Trwać — stało się Twoim prawem”. Egzemplifikację tych zasad dał w trzylecie śmierci Luczyńskiego Stanisław Dębowski, znający go na codzień: „Jako Komendant X Okręgu POW dokonywał wprost cudów. Na wyżywienie dostawał zaledwie tyle, by z głodu nie zamrzeć. Niemcy wkrótce zbyt dobrze poznali jego żółte buty i wojskową bluzę, tak że musiał się skrywać, uciekać, przebiegać. Pracował dzień i noc. Był nie tylko komendantem, był i sekretarzem, i gońcem, i instruktorem. Przez całą noc prawie odbierał raporty z różnych stron, dawał instrukcje, rozkazy — dodawał



harcierz



otuchy zastraszonym w czasie wysyp — karcili swoich — terroryzował Niemców. Był wszędzie. Gdy poczuł, że gdzieś w dalekiej wiosce praca zaczyna się rozlatić, naciągał swe żółte buty, brał kij do ręki i wędrował nocą drożynami, zwoływał zbiórki i kilkoma słowami naprawiał wszystko. Byłem kiedyś obecny, gdy obznajmiał „nowego” z istotą pracy: „Zołnierz, to jest obywatel, który z bronią w ręku walczy za Ojczyznę. Mundur to już gupstwo, byle broń. Peowiać to jest taki żołnierz bez mundur. Niemcy bardziej się boją nas niż my ich. Gdy przechodzisz koło Niemca, wiesz kto to jest, i czy ma broń — a on nie wie nic. Wybijemy ich, zanim się obejrzą. A „nowy” słuchał — i zrozu-

miał, a w parę dni później przysięgał na wierność ojczyźnie — na pohybel najeźdźcy”.

Zmagania na frontach I wojny światowej w 1918 roku mocno nadzarpnęły potencjał militarny Niemców. Od pierwszych dni listopada tego roku w Łomży utrzymywała się pogłoska o ich porażce wojennej. POW nasiliła przygotowania do rozbrojenia zaborczego wojska i stanęła w pogotowiu. Chodziło o to, by na wypadek ewakuacji Niemcy nie zdążyli uciec z bronią i żywnością. Na 11 listopada organizacja wyznaczyła akcję zbrojnego obsadzenia placówek i posterunków wojskowych w mieście. Owego dnia zorganizowany przez POW Komitet Obywatelski, po naradzie w Towarzystwie Kredyto-

wym Ziemskim, postanowił wszcząć pertraktacje z gubernatorem niemieckim w sprawie złożenia broni, oddania wszystkich obiektów militarnych i opuszczenia Łomży przez wojsko. Na drugie z tych żądań gubernator nie chciał się zgodzić. Gdy w gubernatorstwie toczyły się rozmowy, w mieście zaczęła się strzelanina i rozbrajanie Niemców, co na własne oczy zobaczyli z okien debatujący. Gubernator — pod wrażeniem rozgrywających się wydarzeń — przystał na warunki, zastrzegając jednak, że jedna kompania zachowa karabiny i jako eskorta następnego dnia odprowadzi do Prus urzędników niemieckich i ich rodziny. Z kolei Komitet zagwarantował wydanie zarządzenia o wstrzymaniu akcji przez POW i nadzór nad urządami niemieckimi, by nie dopuścić do ekscesów ze strony ludności polskiej. Gdy o godzinie 16.00 Komitet opuszczał siedzibę gubernatora, gruchnęły salwy na ulicy Sienkiewicza, gdzie wojsko ostrzeliwało, zajęte przez peowiaków, lokal Feldpolizei.

— 11 listopada postawiono mnie w stan alarmu — otwiera przebieg zdarzeń na ulicy Sienkiewicza druh Dąbrowski. — Było to około godziny 15—17. Wrzuciłem kurtkę na plecy i szybko udałem się na miejsce zbiórki, do Ogrodu Miejskiego (obecny park przy ul. Wojska Polskiego — J. S.). Stawiło się nas jedenastu, może dwunastu. Oddział ruszył ulicą Ostrołęką (Wojska Polskiego — J. S.) w stronę Placu Kościuszki, potem szedł Krótką, Dworną (22 Lipca) i Sienkiewicza, po drodze rozbrajając Niemców. Już wkrótce mieliśmy kilkanaście karabinów i bagnety. Gdy znaleźliśmy się na Sienkiewicza, od strony Polowej nadchodził oddział niemiecki, mniej więcej w sile odpowiadającej naszej. Zobaczyliśmy się nawzajem, gdy tamci byli na wysokości domu starców (obecny dom pomocy społecznej — J. S.), a my przy kamienicy Siedziwskiego (ul. Sienkiewicza 10 — J. S.). Niemcy stanęli, widząc nas z karabinami, Kaliwoda krzyknął: Hände hoch! i wyciągnął w ich stronę pistolet. W tym czasie reszta nas wskoczyła do bramy, komendant został sam na ulicy. Niemcy zarepetowali broń, Leon powtórzył okrzyk: „Hände hoch!”.

Jazgot karabinów i kulomiotów objął miasto. W rozbrajanie żołnierzy i urzędników niemieckich włączyli się cywile. Akcja trwała całą noc.

Dnia 12 listopada o godzinie 11.00 odbył się pogrzeb poległych przy rozbrajaniu. Za sześcioma trumnami szło całe miasto, a na czele konduktu — duchowieństwo wszystkich wyznań. Tego dnia o godzinie 15.00 Niemcy opuścili Łomżę. Miasto było wolne.

— W rocznicę śmierci Komendanta wmurowano tablicę pamiątkową w bramie domu Siedziwskiego — referuje Tadeusz Szlis z Łomży, w którego rodzinie zachowała się żywa pamięć o Kaliwodzie. — Płyta przetrwała tam do okupacji hitlerowskiej. 15 lipca 1941 roku na ulicy Sienkiewicza zlokalizowano sztab niemiecki, wkrótce potem tablica została wyrzucona na skład zużytych kręgów studziennych przy ulicy Rybaki. Po wyzwoleniu odnalazł ją tam zastępca burmistrza Łomży, Karol Mściuchowski. Z jego biura płyta trafiła do ówczesnego Komendanta Hufca ZHP, który przechowywał ją we własnym domu w obawie przed represjami stalinowskimi. Stamtąd przeszła do Liceum Ogólnokształcącego w Łomży, gdzie przeleżała na strychu aż do otwarcia Muzeum Szkoły. Wtedy dopiero została należycie wyeksponowana, by wreszcie, w tym roku, w dniu rocznicy odzyskania niepodległości, powrócić na swe właściwe miejsce; tam, gdzie przed 63 laty padł Leon Kaliwoda.

W roku 1921 w miesięczniku „Czuwaj”, poświęconym pamięci poległych harcerzy, Stanisław Dąbrowski w pośmiertnym słowie pisał: „Komendancie młody! Zrobiłeś swoje na ziemi. i pilno Ci było w zaświaty. Pokazałeś, jak się za Polskę umiera i czekałeś tam na chłopców swoich, by się mieli zameldować u kogo. A chłopcy polecili za Tobą. Więc oto dziś jest tu u nas jedna Kościuszkowska Drużyna — a zaś druga jest tam u Ciebie. Jedną do pracy się rwie, pola i lasy gwarem i śmiechem zapetnia, a Twoją w cichych mogiłach śpi... i czuwa”.

I czuwa. JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LORINCZY



gorycz z sakowara



— To prawda, że jesteś zarozumiały?

WALDEMAR SAMORDAK: — Nie sędzę. Wiem, skąd ta opinia o mnie. Nie podobała mi się organizacja w Łomży kilku imprez muzyczno-wokalnych i sprzeciwiałem się poczynaniom osób za nie odpowiedzialnych; powiedziałem im, co należałoby w nich zmienić, i to bez wielkiego wysiłku. Powiedziałem to, mając za sobą występy na ogólnopolskich konkursach o znacznej randze. Myślałem, że moje doświadczenia przydadzą się do lepszego organizowania ruchu muzycznego w Łomży, a tymczasem zostałem oceniony jako pyszałek.

— O co konkretnie poszło?

W.S.: — Nie chcę do tego wracać. Mogę tylko dodać, że m.in. zasugerowałem łomżyńskim organizatorom festiwalu piosenki harcerskiej wymianę aparatury nagłaśniającej i jej lepsze ustawienie, co wymagałoby 20 minut dodatkowych przygotowań. W odpowiedzi usłyszałem, że podskakuje, po czym obcięto mnie w przesłuchaniach konkursowych i nigdzie nie pojechałem. Nie twierdzą, że byłem wtedy najlepszy w województwie, chociaż w ocenie współwykonawców — tak.

— Jak się znalazłeś na tym festiwalu?

W.S.: — W roku 1975 były eliminacje szkolne konkursu „Spotkania z piosenką harcerską”. Miałem 15 lat, chodziłem do I klasy Technikum Weterynaryjnego w Łomży (tu się urodziłem). Grałem trochę na gitarze i śpiewałem w szkolnym zespole. Zgłosiłem się właściwie bez żadnego przygotowania i, ku swemu zaskoczeniu, znalazłem się w finale w Siedlcach. Zdobyłem tam trzy nagrody, jedną z siedmiu głównych (wyjazd na Festiwal Kultury Młodzieży Szkolnej w Kielcach), „Sztandar Młodych” i publiczności. W Kielcach były m.in. dwutygodniowe zajęcia warsztatowe z zespołem „Novi Singers”, które dały mi bardzo dużo. Tam też nagrano mnie dla Polskiego Radia i brałem udział w programie Telewizji Młodych. Wróciłem do Łomży. Gdy dziś patrzę na ten powrót i na wszystkie moje powroty z konkursów, schemat był i-dentyfikacyjny: wyjazd, zdobycie jakiejś nagrody, przyjazd i żadnej perspektywy, żadnego zainteresowania ze strony pracowników kultury, propozycji, pomocy.

— Zaczęłeś się przecież uczyć gry na gitarze klasycznej u profesora Janusza Bączka.

W.S.: — Owszem, ale to były moje starania. Miałem niecałe 16 lat, nie wiedziałem, do kogo się zwrócić o radę, czy w ogóle jest to możliwe. Na dodatek zdusiła mnie wewnętrznie reakcja szkoły; na te sukcesy. Natychmiast zrobiono ze mnie maszynę do obsługi imprez. Zapychano mną tzw. części artystyczne przeróżnych wieczornic, spotkań, narad, zebrań, na których występ wokalisty nie miał powiązania z imprezą, co sprawiało, że nikt nie słuchał koncertu i traktował go jako tło do towarzyskich pogawędek. Ale czy mogłem sprzeciwić się nauczycielom. Nikt z nich nie docenił faktu, że na ogólnopolskiej estradzie reprezentowałem konkretną szkołę, w której zostawiałem przywołane trofea. Ale to widocznie było za mało. Chciano ze mnie zrobić automat do zapychania dziur w programach. Chyba nie można było już bardziej zohydzić mi udziału w konkursach. Dlatego do 1978 r. nie uczestniczyłem w żadnych turniejach.

— W rok potem grałeś i śpiewałeś w duecie. Czy była to próba samoobrony przed wyjąławiającym wpływem szkoły?

W.S.: — Po części tak, przede wszystkim jednak chodziło o rozszerzenie własnych możliwości wykonawczych. Słyszałem najpierw od znajomych, że mój rówieśnik, Sławek Długozima, wykonuje interesującą muzykę. Potem sam miałem okazję go usłyszeć. Zaproponowałem współpracę. Po dwóch miesiącach prób wystartowaliśmy w ogólnopolskim przeglądzie studenckiej piosenki turystycznej „Bazuna-79” w Malborku, na prawach szczególnych, bo studentami nie byliśmy. Nasze utwory znalazły się w dwudziestce najlepszych spośród 120 propozycji wykonawczych. W czerwcu, w finale piosenki harcerskiej w Siedlcach, dostaliśmy nagrodę Rozgłośni Harcerskiej i znów prawo udziału w kieleckich warsztatach, prowadzonych przez Krystynę Prońko. Za postępy, jakie tam zrobiliśmy, dano nam nagrodę Ministerstwa Kultury i Sztuki. Przyszedł rok 1980. Nadal działałem ze Sławkiem, bez instruktora. Przypadkowo nawiązałem kontakt z Mariuszem Jelińskim z Naczelnej Redakcji Programów Rozrywkowych Polskiego Radia i Telewizji w Warszawie. Zadeklarował swą pomoc i dostarczył mi materiały muzyczne, które mnie szczególnie interesowały. Gdyby nie znajomość z tym człowiekiem, pozostałbym nadal bez źródła repertuarowego.

— Mimo tylu kłopotów w tym roku zostałeś laureatem Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

W.S.: — Udział w konkursie był przypadkowy. Nie przygotowywałem się wiele, wystartowałem i znalazłem się w eliminacjach wojewódzkich, z utworami Włodzimierza Wysockiego. Od tego czasu zaczęła się moja fascynacja tym człowiekiem i twórcą. W poprzednich latach reprezentanci Łomżyńskiego dochodzili do eliminacji międzywojewódzkich. Mnie udało się dotrzeć do finału, zdobyć „Brazowy Samowar” oraz nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Zielonej Górze. Bezpośrednie źródło sukcesu upatruję w... niepowodzeniu. W czasie wykonywania utworu pomyliłem się, opuściłem pół zwrotki. Mimo tego nie przerwałem występu, postawiłem wszystko na jedną szalę. Zmobilizowałem się, dałem się ponieść emocji, no i w takim nastroju dośpiewałem do końca. Po ogłoszeniu werdyktu część uczestników konkursu przyjęła jego postanowienia niezbyt przychylnie, przysła gdzieś serdeczna atmosfera, zrodziła się zawiść. Mówiłem później o tym w programie telewizyjnym, ale tych fragmentów wypowiedzi nie puszczono na antenie. Jestem zdania, że finaliści festiwalu nie powinni być nagradzani, by nie burzyć serdeczności między wykonawcami.

— O czym należałoby jeszcze koniecznie powiedzieć w naszej rozmowie?

W.S.: — Chciałbym, żeby moi następcy, próbujący swych sił w amatorskim piosenkarstwie w Łomży, nie mieli tych kłopotów, na jakie ja natrafiłem; żeby wreszcie roztoczono nad nimi fachową opiekę. Zamierzam od tego roku pomagać im z „wolnej stopy”, ale wiem, że sam niewiele zdziałam.

Rozmawiał: JULIUSZ ŚWIĘDO
Fot. GABOR LORINCZY

kontakty kontaktów

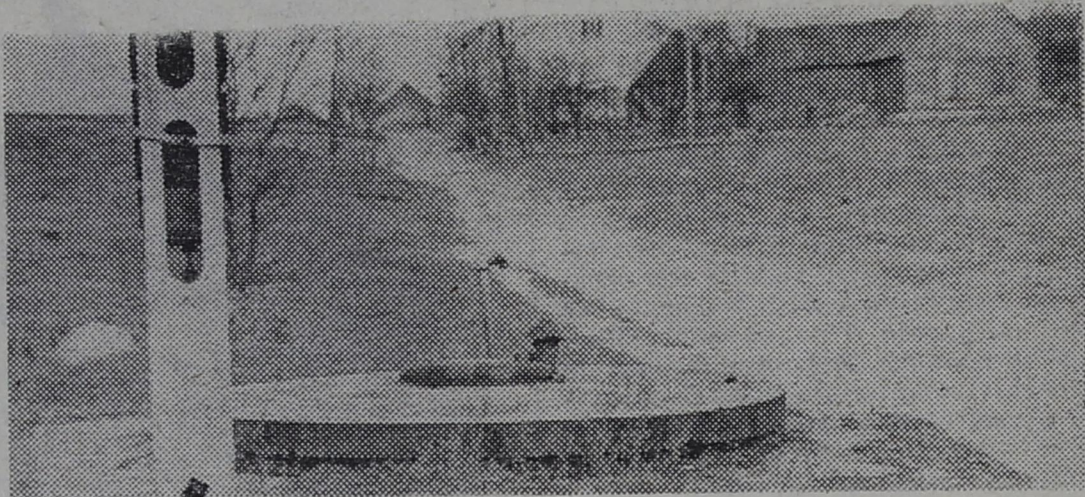
Szanowny Panie Wojewodo, my, mieszkańcy wsi Gałazki, gmina Grabowo, zwracamy się z prośbą o udzielenie nam pomocy, której nie możemy uzyskać w Urzędzie naszej gminy. W naszej wsi, 13 lat temu wybudowano studnię głębinową. Przez cały czas wygląda ona tak, jak na zdjęciu 1.

Wewnątrz znajduje się pompa podłączona do linii elektrycznej — po naciśnięciu przełącznika od razu płynie woda. Brakuje tylko przewodów, które rozproszająby wodę do naszych zagrod. Zwracaliśmy się w tej sprawie kilkakrotnie do władz gminy, ale zbywały nas byle czym. Jedni wydziewiali, że wygod nam się zach-

ciewa, inni tłumaczyli, że wody doprowadzić nie można, bo to kosztuje, np. w sąsiedniej wsi Milewo są studnie zadbane, a za ten nadzór mieszkańcy wykładają pieniądze.

Nie wiemy komu na tym zależy, aby pieniądze włożone w wykonanie studni głębinowej zostały wyrzucone na śmietnik. Skoro już wybudowano ten 13-letni „pomnik” to najwyższy czas zrobić z niego użytek, a nie wyludzać od mieszkańców wsi pieniądze na kogoś sprytnego z Urzędu Gminy.

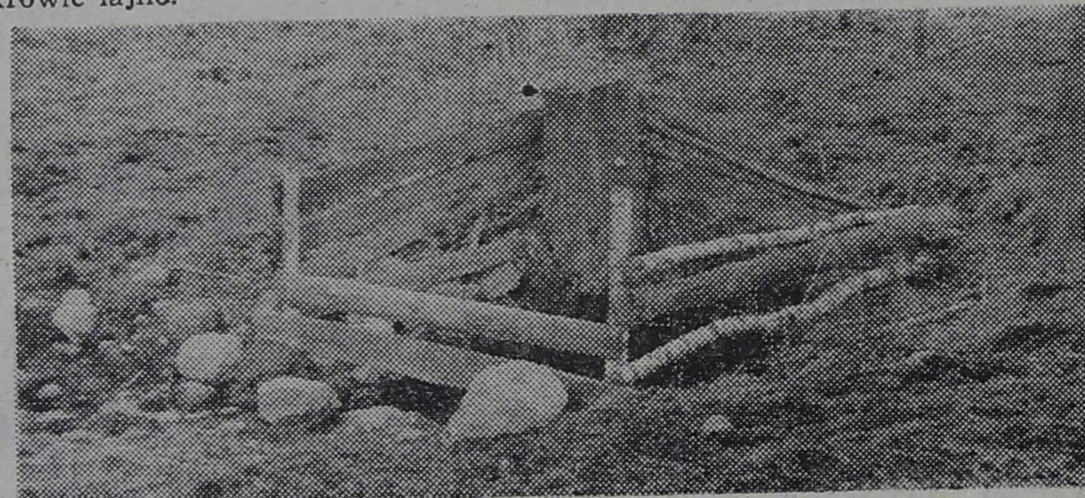
Od długiego czasu musimy wodę donosić z odległości około 500 metrów. Część wioski od strony Biedrzyckich donosi wodę z ogrodzonej



kałuży, gdzie poziom wody jest równy z powierzchnią ziemi. Piją z niej konie, a nawet i psy. Oto jak wygląda ta studzienka-kałuża (zdjęcie 2).

Wszystkie ścieki z okolicy do niej spływają, a czasem można znaleźć i krowie łajno.

Druga część wioski jest w lepszej sytuacji, bo ma studnię trochę wyżej i może trochę mniej bogatą w łajno zwierzęce. Jak długo mamy pić tą śmierdzącą wodę i patrzeć na niewykorzystaną studnię oraz wozić nasze dzieci po szpitalach?



Prosimy, przyjdźcie, obejrzyjcie i powiedzcie całej wiosce, kto ma rację: naczelnik gminy Grabowo czy my. Może Pan Wojewoda nie ma ochoty odwiedzić naszej gminy, więc zwracamy się również do redakcji „Gazety Współczesnej” oraz tygodnika ziemi łomżyńskiej, a jak i one nie będą mogły nic zrobić, to sprzeczmy Redakcję Rolną Polskiego

Radia i Telewizję. Może one sprawią, że nie będziemy pili zwierzęcych gówn i nie ciągli wiader z takiej odległości.

Wierzymy, Panie Wojewodo, że w październiku 1981 r. ktoś nam konkretnie wytłumaczy, po której stronie stoi prawda.

Rolnicy wsi Gałazki
gmina Grabowo



„Kontakty” z dnia 11 października 1981 r. zamieściły notatkę nt. braku zainteresowania Ośrodka Szkolenia Zawodowego Kierowców Ligi Obrony Kraju w Łomży sąsiadującym z nim wysypiskiem śmieci. Wyjaśniamy, że znajdujący się obok naszej ogrodzonej posesji plac jest przeznaczony pod garaże dla prywatnych samochodów osobowych. Jest on nawożony ziemią, gruzem i żużlem celem wyrównania go i osuszenia. W nawożonej masie są różnego rodzaju śmiecie, o których autor notatki wspomina, lecz po całkowitym nawiezieniu i uporządkowaniu plac zostanie zagospodarowany zgodnie z przeznaczeniem.

Teren sąsiadujący z czystą, zakwieconą i ogrodzoną posesją lokowską należy traktować w chwili obecnej jako plac budowy. Czasowo nie może

on być miły dla oka. Należy dodać, że teren ten jest co kilka dni równany zgodnie z wymaganiami budowlanymi i estetycznymi. Ostatecznie, zgodnie z polskim przysłowiem „nie ma o co kopii kruszyć”, dajmy czas budowlanym, a niedługo rogatki miasta ozdobią kolorowe garaże.

BOLESŁAW BARANOWSKI
kierownik Ośrodka
Szkolenia Zawodowego
Kierowców LOK
w ŁOMŻY

Od redakcji: W naszej notatce przyjęliśmy punkt widzenia nieorientowanego w sprawie przechodnia. Z tej pozycji interweniowaliśmy w „Śpięciach”. Szybka reakcja LOK ujęła nas kulturą sposobu wyjaśniania kwestii, a przy tym życzyła nam troską o prawdziwość informacji. Sądymy, że powyższy list zadowolonych wszystkich zaniepokojonych stanem przyłokowskiego terenu.



BEZ PARDONU • BEZ PARDONU

Już w ten czwartek, tj. 5 listopada o godzinie 17.00 w sali konferencyjnej UMIG całe Wysokie Mazowieckie zamienia się w jeden wielki konfesyjonał. Władze spowiadają się, a mieszkańcy miasta i gminy stawiają drażliwe pytania ze wszystkich dziedzin (zaopatrzenia, przetwórstwa, szkolnictwa, oświaty, służby zdrowia, budownictwa mieszkaniowego). Na każde pytanie choćby najtrudniejsze, musi być rzetelna odpowiedź.

Prosimy o niezawodne przybycie pierwszego garnituru wysoko-mazowieckich władz: I sekretarza KMiG PZPR, naczelnika UMIG, przedstawicieli stronnictw politycznych, organizacji młodzieżowych, zakładów pracy, związków zawodowych, Gminnego Związku Kółek i Organizacji Rolniczych oraz NSZZ RI „Solidarność”, prezesa GS-u, Spółdzielni Mieszkaniowej, gospodarki komunalnej, dyrektorów szkół i ZOZ-u oraz tych wszystkich którzy nie zostali tu wymienieni, a będą niezbędni i poczuć potrzebę przysięcia.

5.11.1981 TV 11.11.1981

CZWARTEK 5 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. III. N.30. Biologia, sem. III. 8.10. Przypis o siostrze obronne, kl. VIII i I lic. 9.00. Język polski, kl. I lic. 11.55. Nauka o człowieku, kl. VIII. 13.30. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 14.00. Biologia, sem. I. 14.30. „Jak wprowadzać reformę gospodarczą?” — tworzenie i podział funduszu przedsiębiorstwa. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Czwartek TDC, m.in. „Spadła z obłoków”. 17.45. „Patrol”. 18.10. Rolnicze rozmowy. 18.20. „Sonda”. 18.50. „Kizia i Mizia”. 19.00. „Portfel” w reż. Juliana Dziedziny. 19.30. Dziennik TV. 20.15. Teatr Sensacji — Peter Cheyney: „Kat czeka niecierpliwie” (2). 21.25. „Pegaz”. 22.05. Studio Sport. 22.25. Opowieści niezwykle — „Tortura nadziei”. 22.55. Dziennik TV.

PROGRAM II
17.45. Język rosyjski (4). 18.15. Program dnia. 18.20. „Świat na małym ekranie”. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. NURT: „Innowacje w nauczaniu matematyki”. 20.30. NURT: „Porozmawiajmy”. 21.00. NURT: „Miejsce i rola filozofii w kulturze”. 21.30. 24 Godziny. 21.40. Piotr Czajkowski — Koncert Kameralny. 22.40. „Dokumenty epoki” — program historyczny.

PIĄTEK 6 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — chemia, sem. I. 6.30. Biologia, sem. I. 8.10. Geografia, kl. VII. 9.55. „Krajobrazy Polski” — Kraków. 13.30. TTR — uprawa roślin, sem. III. 14.00. Hodowla zwierząt, sem. III. 15.40. Redakcja Szkolna zapowiada. 15.55. NURT: „Współczesne metody pedagogiki pracy”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Dla dzieci. „Dziękuję, jakoś leci”. 17.15. „Życie na Ziemi” (3). 18.10. Rolnicze rozmowy. 18.20. Program publicystyczny. 18.50. „Słimak Maciuś”. 19.00. „Poprzedzajmy” w reż. Marka Nowakowskiego. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Monitor Rządowy. 20.30. „Na drugiej linii frontu” (4) — „Wilkołaki”. 22.10. Dziennik TV. 22.25. Piotr Czajkowski: — IV Symfonia h-moll.

PROGRAM II
18.15. Wieczór Telewizji Szczecińskiej. 18.20. „Najbliższe i niedocenione” — sytuacja w rybołówstwie bałtyckim. 18.45. „Malowanie mór” — X Międzynarodowy Plenar Bałtycki w Słowińsku. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Do widzenia pani kapitan” — reportaż o Danucie Wallas-Kobylskiej. 20.15. „Nie bojmy się samorządu” — program publicystyczny. 20.45. „Carmen” — program baletowy. 21.30. 24 Godziny. 21.40. „To jeszcze nie” — program satyryczny. 22.00. „Wyscigi zaprzęgów” — impreza sportowa. 22.15. „Hejnal” — reportaż o chorze robotniczym. 22.45. „Tryptyk Duda-Gracz, czyli wernisaz, którego nie było”. 23.00. „Życie aby żyć” — reportaż filmowy. 23.15. „La ci darem la mano” — wariacje Chopina na tematy Mozarta.

SOBOTA 7 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
5.55. TTR — uprawa roślin, sem. III. 6.25. Hodowla zwierząt, sem. III. 6.55. Uprawa roślin, sem. I. 7.25. Hodowla zwierząt, sem. I. 7.55. 64 rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej — transmisja z Moskwy. 9.00. „Sobótka”. 12.30. STUDIO 2. 12.40. Co słychać w Polsce? 13.40. W Starym Knie: „Co mój mąż robi w nocy”. 14.55. „Co to jest?” — teleturniej dla dzieci. 15.10. „Flesz” — magazyn reporterów. 15.40. „Pieszo bliżej” — magazyn antymotoryzacyjny. 16.10. Dziennik TV. 16.40. Kalendarz Kino-Oko. 17.50. Magazyn pana Manna. 18.20. Program publicystyczny. 18.50. „Bolek i Lolek”. 19.00. „Diament radzący” w reż. Sylwestra Czechlińskiego. 19.30. Dziennik TV. 20.20. „Syberia” (2) w reż. Andrzeja Michalkowa-Konczakowskiego. 22.00. Program firmowy STU-DIA 2. 22.30. Koncert z okazji 64 rocznicy Rewolucji Październikowej — transmisja z kremlońskiego Pałacu Zjazdów w Moskwie. 23.20. Dziennik TV. 23.30. Kino Nocne: „Starszy i Hutch” — „Tygrys z Omaha”.

PROGRAM II
15.55. Program dnia. 16.00. „Liguabe” (3). 17.05. Dzień Radziecki w Telewizji Polskiej. 17.10. Październik a Polska. 17.20. Donieck — stolica Donbasu. 17.55. „Tatarstan” — film dokumentalny. 18.45. Rozmowa z delegacją TPPR. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.05. „Polacy w Rewolucji Październikowej” — wywiad z historykiem radzieckim. 20.15. „Konstantin Iwanow” — film biograficzny. 20.45. „Syberia dziś” — film dokumentalny. 21.40. „Klinika doktora Sepa”. 22.05. „Kłucze do miasta”. 22.20. „Kelbadarscy starcy”. 22.35. „Balet Leningradzki”. 22.50. Na dobranoc gra Raymond Pauls.

NIEDZIELA 8 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
6.20. TTR, RTSS — uprawa roślin, sem.

I. 6.50. Hodowla zwierząt, sem. I. 7.20. „Wiedza nasza szansa”. 7.30. Nowoczesność w domu i zagrodzie”. 8.00. „Tydzień” — magazyn rolniczy. 8.45. Telewizjada. 9.00. Teleranek. 10.25. Program dnia. 10.30. „Antena”. 11.00. I liga piłki nożnej. 12.45. Dziennik TV. 13.30. Telewizyjny Koncert Zyczeń. 14.30. Borys Sudarszkin: „Bajka o Emiliu”, widowisko Teatru Lalek „Pleciuga” ze Szczecina. 15.10. Program publicystyczny. 15.50. „Koch, mój przyjaciel” — serial filmowy. 16.15. Wszystko o reformie. 16.40. „Lalka” (4) — „Pierwsze ostrzeżenie”. 18.05. Program rozrywkowy. 18.15. „Proste pytania”. 19.00. „Pszczółka Maja”. 19.30. Dziennik TV. 20.15. „Szeryf z tamtych lat” — amerykański film fabularny. 22.00. Sportowa Niedziela. 22.30. Program muzyczny.

PROGRAM II
11.25. Program dnia. 11.30. „Na frontach rewolucji” — program wojenny. 12.00. Dla tych, którzy pracowali w sobotę. 13.55. „Jesienne kwiaty” — jugosłowiański film obyczajowy. 15.50. Teatr Wspomnień — Adam Mickiewicz: „Pan Tadeusz”, księga XI — „Rok 1812”. 16.40. „Nieliczne towarzystwo muzyczne”. 18.00. „Ostatni rok Birkuta” — radziecki film fabularny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Filmy dokumentalne. 21.55. Wieczór Filmowy.

PONIEDZIAŁEK 9 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
13.30. TTR, RTSS — fizyka, sem. III. 14.00. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 15.55. NURT: „Cywilizacja i kultura współczesna”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Zwierzyńce. 17.20. „Doma i my”. 17.30. „Ile jest życia (8) — „Noc księżycowa”. 18.20. Klinika Zdrowego Człowieka. 18.50. „Łakomczucha”. 19.00. „Zabijaka” wg opowiadań Iwona Turgeniewa, w reż. Stanisława Lenartowicza. 19.30. Dziennik TV. 20.15. Teatr Telewizji — Stefan Żeromski: „Przedwiośnie” w reż. Wojciecha Solarza. 22.20. Program publicystyczny. 22.50. Dziennik TV.

PROGRAM II
18.15.—23.00. Redakcja Muzyczna na antenie Dwójki: „Goście sezonu muzycznego 81”. 18.20. Mistrzowski interpretacje Bacha: Henryk Szeryng. 18.40. Muzyka dawna na dawnych instrumentach: Academy of Ancient Music. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Artur Papazjan gra Chopina i Debussy’ego. 20.15. Stanisław Skrowaczewski. 20.15. Roland Petit i jego balet. 21.10. Z festiwalu „Wratislavia Cantans”. 21.40. 24 Godziny. 21.50. Ivo Pogorelic — recital, którego nie było. 22.10. Wirtuoz fletu: Alain Marion. 22.20. Bisy Eleny Obrazcowej. 22.50. Laureat Konkursu im. Henryka Wieniawskiego.

WTOREK 10 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — fizyka, sem. III. 6.30. Mechanizacja rolnictwa, sem. III. 8.10. Historia, kl. VIII. 9.55. Język polski, kl. II lic. 11.00. Plastyka kl. III. 13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 14.00. Historia, sem. I. 14.30. „Jak wprowadzić reformę gospodarczą”. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. „Michałki”. 17.20. Polska Kronika Filmowa. 17.30. Telewizja Młodych — CDN. 18.10. Rolnicze rozmowy. 18.20. „Impulsy”. 18.50. „Plastusioy pamiętnik”. 19.00. „Piwo” — dramat wojenny w reż. Stanisława Różewicza. 19.30. Dziennik TV. 20.00. Wszystko o reformie. 20.15. „Przestępstwo prawie doskonałe”. 21.15. — komedia kryminalna prod. RFN. 21.55. „Listy o gospodarce”. 22.40. Dziennik TV.

PROGRAM II
17.45. Język angielski dla zaawansowanych (5). 18.15.—21.50. Publicystyka kulturalna na antenie Dwójki. 18.20. Klub Dobrych Książek. 18.45. „Dookoła pewnego sedesu...” — reportaż filmowy. 19.00. Program lokalny. 19.30. Dziennik TV. 20.00. „Serce ujrzy je w głorii” — Muzeum Powstania Warszawskiego. 20.25. Rozmowa z Aleksandrem Żółkiewskim. 20.30. „Skagen” — film dokumentalny. 20.55. 20 minut z Bronisławem Pawlikiem. — 21.15. „Duchy, zamki, pałace” — historia i legenda XIII-wiecznego zamku w Lipowcu. 21.35. Śpiewający aktorzy. 21.50. 24 Godziny. 22.00. Wtorek Melomana — recital Raphaella Millyera.

ŚRODA 11 LISTOPADA 1981 R.

PROGRAM I
6.00. TTR, RTSS — język polski, sem. I. 6.30. Historia, sem. I. 11.00. Muzyka, kl. I. 11.55. Fizyka, kl. VIII. 13.30. TTR, RTSS — język polski, sem. III. 14.00. Biologia, sem. III. 15.55. NURT: Innowacje metodyczne w nauczaniu matematyki. 16.25. Program dnia. 16.30. Dziennik TV. 16.50. Dla dzieci: „Sezam”. 17.30. „Gieda”. 17.40. Program publicystyczny. 18.10. I Liga hokeja na lodzie. 18.50. „Przywroci”. 19.00. „Dama pikowa”, wg. opowiadania Aleksandra Puszkina, w reż. Janusza Morgensterna. 19.30. Dziennik TV. 20.15. FilMOTEKA Arcydzieł: „Henryk V” Williama Szekspira w reż. Lawrence’a Oliviera. 22.35. Dziennik TV.

konto otwartych serc

Trwa społeczna zbiórka pieniędzy na pomoc dla ludzi niepełnosprawnych, szczególnie na ufundowanie 11 książeczek mieszkaniowych, dzięki którym już w przyszłym roku ich właściciele będą mogli otrzymać mieszkania spółdzielcze. Trwają właśnie przygotowania WSM do zakupu projektu bloku, dostosowanego do potrzeb ludzi kalekich.

Stan konta naszej akcji wynosi 60 983,80 złotych. Oto kolejni ofiarodawcy: Spółdzielnia Inwalidów w Łomży — 5000 zł; Służba Rolna Urzędu Miejskiego w Łomży — 3500 zł; Kazimiera Kokoszyńska z Łomży — 500 zł; Maria Dańkowska z Łomży — 2000 zł; Janina Ochman z Łomży — 2000 zł; Bank Spółdzielczy w Ząbżach Kościelnych — 1000 zł; Bank Spółdzielczy w Klukowie — 500 zł; Zofia Wójcicka z Łomży — 2000 zł; Ewa Wójcicka — 2000 zł; Sabina Przesmycka z Łomży — 500 zł; anonimowo — 1000 zł; i 2000 zł; Bank Spółdzielczy w Jedwabnem — 1000 zł; Redakcja „Gazety Współczesnej”, oddział w Łomży — 170,80 zł; Zarząd Wojewódzki ZSMP w Łomży — 8700 zł; Michał Fulmyk z Łomży — 500 zł; Bank Spółdzielczy w Zambrowie — 1000 zł; Kazimiera Piorunek z Łomży — 5000 zł; Bank Spółdzielczy w Łomży — 1000 zł; Anna Ossowska z Kolna 2013 zł; ŁZPB „Narew” w Łomży — 500 zł.

Akcję pomocy postanowiliśmy znacznie rozszerzyć. Czekamy zatem na zgłaszanie się osób niepełnosprawnych z terenu województwa łomżyńskiego, których sytuacja bytowa, a przede wszystkim mieszkaniowa wymaga szybkiej poprawy. Liczymy również na informacje osób postronnych o ludziach kalekich, będących w potrzebie.

Wydatną pomoc w naszym przedsięwzięciu zadeklarował również zarząd fabryczny ZSMP Fabryki Samochodów Małolitrażowych w Białym Białej, proponując posiadaczom samochodów osobowych z łomżyńskiego ekspresową ich adaptację dla potrzeb ludzi niepełnosprawnych. Przy czym modyfikacje te nie eliminują możliwości korzystania z pojazdów przez pełnosprawnych użytkowników. Szczegóły na ten temat — w Zarządzie Miejskim ZSMP w Łomży, Pl. Żeglarski 6. Warto też, by sprawą zainteresowały się oddziały Ligii Obrony Kraju, jako że bielskobialska propozycja pozwala objąć kursami jazdy grupę ludzi dotychczas całkiem pomijaną.

Przypominamy, że wpłaty pieniędzy na pomoc dla ludzi niepełnosprawnych przyjmujemy na konto: PKO Łomża 45519-1065-132 z dopiskiem „Konto otwartych serc”.

Organizatorzy:

Łomżyńskie organizacje młodzieżowe (OHP, ZHP, ZMW, ZSMP), Polski Komitet Pomocy Społecznej Oddział w Łomży oraz redakcja: „Gazety Współczesnej” i „Kontaktów”.

uwaga szachiści!

Reaktywował działalność Okręgowy Związek Szachowy w Łomży. Zakłady pracy, instytucje, kluby sportowe oraz szkoły z terenu województwa łomżyńskiego informujemy, że jednorazowe wpisowe na członka Związku wynosi tylko 3 tysiące złotych. Natomiast opłatę członkowską na rok 1982 ustalono w wysokości 500 złotych dla szkół i 1 tysiąc dla pozostałych. Fundusze zebrane z tych opłat zostaną przeznaczone na zakup sprzętu i organizację zawodów szachowych.

Już w tym roku OZS zamierza zorganizować rozgrywki drużynowe o mistrzostwo okręgu. Termin przyjmowania zgłoszeń — do 10 listopada. Drużyna szachowa powinna składać się z kobiety, pięciu mężczyzn, juniora (do lat 20) i młodzika (do lat 17). Bliższych informacji udziela sekretarz Związku Tadeusz Sadowski w godzinach 10—16 pod telefonem 52-71 wewn. 158 i 20-40 w godzinach popołudniowych, a także Wojewódzka Federacja Sportu w Łomży, ul. Zjazd 11, tel. 41-73.

IMPREZY KULTURALNE

Miejski Dom Kultury — Dom Srodowisk Twórczych w Łomży: koncert Jana Ptaszyna-Wróblewskiego (w klubie „Stale Zajęcie”, dawniej „Bonar”), 8 XI, godz. 19.00 (bilety do nabycia w klubie, w godz. 8.00—21.00); „Caly ten zgiełk” — projekcja filmu (w sali WDK), 9 XI, godz. 18.00.

Miejsko-Gminny Dom Kultury w Zambrowie: wystawa prac plastyków-amatorów z Zambrowa, czynna codziennie, w godz. 9.00—20.00.

Klub Stowarzyszenia PAX w Łomży, ul. Rządowa 8: „Sen o Judaszu” wg. Osamu Dazay — monodram w wykonaniu Marka Sawickiego, 5 XI, godz. 18.00; projekcja filmu w „Kinie wspomnień”, 10 XI, godz. 17.00.

Łomżyńska Orkiestra Kameralna — koncert w sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Łomży, 6 XI, godz. 19.00 (bilety do nabycia w biurze Orkiestry, ul. Świerczewskiego 36, lub na godzinę przed koncertem w foyer).

WYSTAWY

Biuro Wystaw Artystycznych — Salon Wystawowy, ul. Armii Czerwonej 19 (czynny codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 12.00—18.00, w wolne soboty i niedziele w godz. 13.00—16.00): wystawa malarstwa Włodzimierza Książka.

Galeria Dawnej Fotografii, ul. Mariana Buczka (witrina sklepu tekstylnego):

„Regaty wiosenne na Narwi” (fotografia z 1926 r.).

Galeria Jednej Fotografii, ul. Sclegienego 1 (witrina sklepu „Foto-Optyka”): Stanisław Lesiak — „Sabała”.

Muzeum Rolnictwa im. Krzysztofa Klucka w Ciechanowcu (czynne codziennie — oprócz poniedziałków i dni poświątecznych — w godz. 9.00—16.00, w niedziele i święta w godz. 11.00—19.00): „Mellioracje rolne” — wystawa czasowa.

KSIAŻKI NADEŚLANE

Jerzy Plutowicz: „Zasłyszane do końca”, wydanie I, nakład 1000 egz.

Jerzy Adam Sokolowski: „Początek długiego snu”, Wydanie I, nakład 5000 egz.

W RAZIE POTRZEBY

32-44 — dyżurująca apteka, ul. Giełczyńska 1.

997 — Milicja Obywatelska.

34-61 (do 65) — Pogotowie Energetyczne.

999 — Pogotowie Ratunkowe.

998 — Straż Pożarna.

Pogotowie Chirurgiczne, ul. Marii Skłodowskiej-Curie 1. Czynne całą dobę.

Dyżury stacji obsługi motoryzacyjnej w dni wolne od pracy: 7 XI — ASO „Polmozyt” w Zambrowie, ul. Magazy-

nowa 18, tel. 35-36; 8 XI — ASO „Polmozyt” w Grajewie, ul. Marchlewskie-

go 33 a, tel. 24-22.

Ogłoszenie drobne

BIURO Matrymonialne „Piaś”, 84-300 Łęborg, skrytka pocztowa 22 — poleca usługi.

pg 1196-0

SZCZĘŚLIWIE kojarzy małżeństwa — Biuro Matrymonialne „Mazury”, Olsztyn 2, skr. 336.

K 2752-0

MIESZKANIE spółdzielcze 40 m kw. w Gdyni zamienię na podobne w Łomży. Wiadomość: Łomża, Brońskiego 2/58.

p 1233-1

Tygodnik „Kontakty” ogłoszenie

Tygodnik „Kontakty” zatrudni kierowcę z II kategorią prawa jazdy i z uprawnieniami elektryka i mechanika samochodowego. Telefon 3495 lub 4022.

KONTAKTY

PIEKIELKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Jeśli nas pamięć nie myli, cztery nasze znajome diabły, ob. ob. i tak dalej, gdzieś tam były i o czymś rozmawiały. Gdzie i o czym, diabli wiedzą, bo dzisiaj nikt już niczego nie wie.

DOJLICKI: Moi szanowni koledzy diabolowie! Analizując to, co jeszcze zostało do analizowania, odnoszę wrażenie, żeśmy wszystko już przeanalizowali. Na dobrą sprawę nie nam nie zostało oprócz wyników naszej analizy, które nie nadają się do dalszego analizowania, tak są bowiem dogłębnie wyanalizowane. Minął zaledwie rok z kawałkiem, a my nie mamy czego analizować, i to właśnie uważam za największe nasze osiągnięcie.

NARWIANSKI: Zaiste jest to o-biektywna prawda, pryncypialna na dodatek. Wszakże nie to uznaję za główny sukces. Półki wszystkich naszych sklepów uginają się dzisiaj pod ciężarem oskarżeń, czyliż nie o to nam chodziło aby?

BUZANSKI: A propos, ile kosztuje jedno najtańsze oskarżenie? Chciałbym kupić coś sobie na pamiątkę, tylko nie wiem, czy mnie na to stać.

BIEBRZANSKI: Zależy od towaru. Pojedyncze tańsze jest od grupowego, krajowe od importowanego i tak dalej. Mam w zapasie kilka różnych, po znajomości mogę wam

odstąpić za pół ceny.

BUZANSKI: Nowe aby?

BIEBRZANSKI: Nie bądźcie śmieszni. W tej materii od wielu lat nowości brak.

NARWIANSKI: Nie rozmawiajcie z dziadem! Lepiej mnie odstąpić, jeśli czegoś macie w nadmiarze. Dam wam za to kilka własnych. O!

BIEBRZANSKI: Dobrze, byle na zasadzie obopólnych korzyści. Co mi dacie za kontrrewolucję? Towar w najlepszym gatunku.

NARWIANSKI: Mogę dać woluntaryzm.

BIEBRZANSKI: Iiii... wypchajcie się sianem. Też mi korzystna wymiana!

NARWIANSKI: Dołożę jeszcze odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne i będziemy kwita, co?

BIEBRZANSKI: Nie bądźcie, kolego, tacy cwani. Za odchylenie nie dostaniecie nawet czerpania korzyści materialnych z tytułu pełnionego stanowiska.

NARWIANSKI: A co powiecie o działalności antypaństwowej?

BIEBRZANSKI: No, to już jest coś. Możemy przystąpić do wymiany.

DOJLICKI: Ja wam radzę, kolego Narwiański sprawdźcie najpierw, z którego roku jest ta jego kontrrewolucja. Nie każdy rocznik tyle samo warty.

BIEBRZANSKI: Kto was, do diabła, prosi, żebyście się wtrącali w nasze wewnętrzne sprawy? Pilnujcie sobie własnych oskarżeń! Cwaniak się znalazł.

Diabły, żeby nie wyjść z wprawy, biorą się za tby. Słychać ogólny łomot. Wygląda na to, że nikt nie zwycięży, ponieważ wszystkie przegrują.

WIESŁAW TOMASZEWSKI



Rysunek Andrzeja Podulki

Sennik — przepowiednie niechybne

GOŁYM BYĆ

Gniew — zgoda z towarzyszem

Gnój — przybytek pieniężny

Godzinki śpiewać — poróżnisz się z kimś

Golić się — ktoś bliski cię oszuka

Golać — nieoczekiwana wiadomość

Gołębie łapać — odwiedzić gości

Gołym być — otrzymasz posadę

Gonty widzieć — być u kogoś na weselu

Gonić — pomyślność w osiągnięciu czegoś, na co oczekujesz
Gorezycę jeść — słodkie szczęście
Góry widzieć lub wspinać się na nie — odznaczenie
Gorzalkę pić — dobre wiadomości
Gościem być — głód cierpieć
Gospodarstwo mieć — miła wiadomość
Gotować — oczerniać cię ludzie
Grabarz — długo żyć będziesz
Grabie — porządek w gospodarstwie
Gras — smutek i zgryzość
Grać w karty — kłótnie i oszustwa
Groch jeść — słabość; zbierać — powodzenie

DONOS TAKI SOBIE

Piekło centralne zawsze dogadzało, choć nie w pełni zostało to docenione. Ostatnio także, idąc na rękę mięsożernym kolejkowiczom, rozwieszono na murach masarni świeżą prasę, aby nikt się nie nudził i — zamiast pyskować — pogłębiał swą wiedzę. Myślicie, że ktoś zrozumiął szczytne intencje? Owszem, prasa rozeszła się błyskawicznie — do pakowania mięsa i wędlin, a ile było przy tym przekleństw pod adresem pomysłodawców, że niby zdurnieli doszczętnie, dając gazety na opakowania. Podobno źle odczytane dobre intencje; gorsze są od rynkowej plotki.

Mimo drobnych odchyśleń wszystko rozwija się pomyślnie. Mamy teraz bągno dokumentne, że nawet zarzybić nie można. Tylko drenaż kompleksowo-kieszonkowy stwarza jakieś przebliski w dwudziestym stopniu zasilania, choć przeciw całoci stają obrońcy komarów.

Dotychczas zagalopowano się jedynie z systemem kartkowym i sprawa jest przegwizdana. Cukierki przecież można było sprzedawać na bilety do kina, wódkę na bilety kolejowe itp., a tak brakuje papieru na podręczne hasła okolicznościowe, które poprzednio można było nabyć w każdym kiosku „Ruchu”. Nie dziwnego, że teraz załamuje się impreza za imprezą.

DODATEK ŚCISŁE JAWNY

PRACA ZAWODOWA

Piekło centralne uprzejmie infor-

muje wszystkich, którzy wiążą duże nadzieje z Olekiem, że żadnych cudów gospodarczych nie będzie i już. Wskazane byłoby wybicie podobnych rzeczy z głowy nawet butem, jeżeli takowy uda się nabyć. Rozżalonym oferuje się klocek lipowy i dużo, żeby sobie mogli wydłubać chociaż chodaki.

Nie ulega jednocześnie wątpliwości, że powyższa oferta swobodnie żegluguje w sferze teorii.

Wiedźmy czerpią skwapliwie z bogatych osiągnięć przodków (o osiągnięciach tyków nawet marzyć trudno). Wypracowany system „kupa, panowie” dawno zdał egzamin eksternistyczny i załatwił handel po kosć ostatnią. Teraz tylko psy wieszają i dziwią się jeszcze, że brakuje żywcą.

A tak na marginesie: po jakiego

grzyba wyskoczono z pomysłem otwartych drzwi w chlewniach?! Świnie dały nogę i realizują teraz kartki choćby w polu. Zaś z grzybów wycina się ostatnio w pień gatunek badylarz samotny.

WYTYCZNE

Komasacja obszarów płatniczych. WSKAZÓWKI

Zapałki w ręku dziecka to dwa dni stania w kolejkach.

TWÓRCZOŚĆ

Jaś z Małgosią, będąc u Baby Jagi w głowie oczkiem, udusili ją niezwłocznie smockiem, potem piernikową chatę zjedli i w las zbiegli, bo dziś taka moda — byle gówniarz gra Heroda!

Z upoważnienia NSDW Czarnego vel Hańseryka do publicznej wiadomości podał
TADEUSZ CHARMUSZKO

2. STAŁA SIĘ CZERNOŚĆ

POMYSŁ:
MARCIN WOLSKI
ADAPTACJA I RYS.:
JÓZEF BURNIEWICZ

MIESZKAŃCY POBLISKIEJ WIOSKI WYMUSILI PRZERWANIĘ WIERCENIA GEOLOGICZNYCH, KTÓRE, ICH ZDANIEM, NIEPOKOJAŁE MIESZKAJĄCE W STAREJ KOPALNI. DZIWNIE WYDARZENIA TOWARZYSZĄCE WIERCENIOM DOWODZĄ, ŻE ZŁE ISTNIEJE I MÓCI SIĘ, DOKO PALNI WYRUSZĄ CZTEROOSOBOWA EKSPEDYCJA. JEJ POBYT POD ZIEMIĄ I SZCZĘŚLIWY POWRÓT POWINNIEN ROZŁADOWAĆ NIEKORZYSTNE NASTROJE.

TAK! WIEM! ZAWALIŁ SIĘ STROP W KOPALNI... WYŚŁALIŚCIE RĄTOWNIKÓW? JA TEŻ WYŚYŁAM - MUSZĄ ODKOPAĆ EKIPE...

DYREKTORZE! NIE POJEDZIMY - COŚ WYSSAŁO PALIWO ZE ZBIORNIKA...

CHOLERA! DACHOWANIE NA PROSTEJ...

CHŁE DO NAMY!

ZARAZ ZARAZ... PO CO I GDZIE, JECHALIŚMY?

JEŻELI NIE WIEMY - PO CO, TO JECHALIŚMY PO ZAKUPY...

NIE POJADĄ - KTOŚ ZACHYLIŁ PALIWO I TALONY... WASI Z WIDZĘ - JADĄ...

PRZEPRAŚNIJ poszukiwanie PRZYJECIE TOWARU

CDN

POKUSY

Andrzej Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY